



Krzysztof Szymoniak

nasza mała metafizyka

Siedemdziesiąt dziewięć razy między rokiem 1978 a 1995 wracałem pod ten dach, kiedyś do żony i córki, a potem już tylko do siebie, z uczuciem rozpierającej mnie genialności. Brałem wtedy do ręki krwawiącą słowami siekierę oraz stukartkowy zeszyt formatu A4 – rozglądając się za spokojnym miejscem – myślałem: Dlaczego by nie wyrąbać jakiegoś nowego *Ulissesa* (*Oblomow* też nie byłby najgorszy) lub przynajmniej drugiego *Czekania na barbarzyńców*?

Po godzinie pętania się z kąta w kąt i rozdzierania tzw. szat, układałem wreszcie to wszystko, tj. siekierę, zeszyt i natchnienie na stole, sięgałem po dreszcz metafizyczny, Nienazwane lub butelkę piwa i z drżeniem serca czekałem na dziesięć pierwszych zdań, które powinny były wstrząsnąć światem.

Tak.

No, tak.

No więc przymykałem powieki i czekałem, a w tym czasie śmigłowce unosiły do nieba odchodzących na zawsze poetów. Żona i córka – a potem już tylko zmyły siadające nocą na piersi – uciekały w takich momentach z domu przerażone dzikością mojej twarzy. Czekałem cholera wie na co, udając pomyłonego wierszokletę, którym – w przeczuciach mojej rodziny – istotnie byłem. Czekając tak zmieniałem flaszki i Nienazwane, natchnieniu groziłem wzniesioną pięścią, bazgrałem na papierze esyfloreasy i modliłem się: „Literaturo, literaturo, lite... gdzie jesteś, kurwa jasna, ty taka-owaka? No, gdzie?”.

Za każdym razem cały ten pisarski zakalec, rzygający metafizyką jak licealista po młodym winie, kończył się niczym, a mówiąc jaśniej – wielką tęczową chujnią, jak zwykł to określać Staszek P., kolega z „uniwersytetu” – bo nie potrafiłem rzeczy najprostszej: oddzielić piwa od Nienazwanego i ułożyć jak trzeba paru słów i zdań. Powiedźcie zresztą sami, czy może być coś prostszego niż kilka zdań o tym, co dźwiga się pod powiekami i w sercu, co usłyszało ucho naszych marzeń, a czego nie dotknęły nigdy palce i języki naszych wrogów?

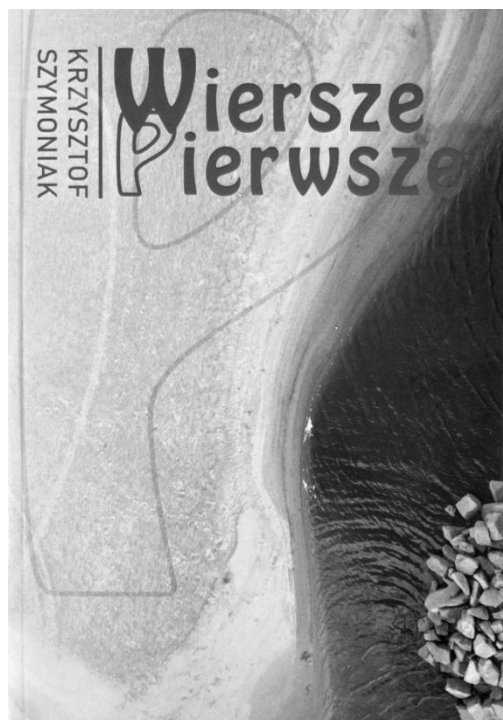
Tak więc zaczynałem wiele razy i tyle samo razy odchodziłem od drzwi tej piramidy z miną oszczanego sfinksa albo świniopasa, któremu nie dano królowej za żonę. Chciałem wielkości i sławy. Niemal zawsze był to trud daremny. Pewnie chciałem dla siebie i dla nas – takich prowincjonalnych geniuszy z głowami w chmurach, a kutasami w imadle banału i nagiej prawdy – rzeczy niemożliwej.

Dzisiaj, po siedemdziesięciu dziewięciu nieudanych próbach napisania paru odlotowych wierszy i dwóch rzucających na kolana opowiadań, kiedy mój peleton dawno już zniknął za siedmioma ulicami i górą słów, mogę spokojnie myśleć o tym, że choć płynie jeszcze w żyłach krew, to moje sprawy nie wstrząsną już światem, nie sprawią, że stanę się nagle sławny, przystojny i bogaty, a także mądry, dobry i szlachetny.

Wiem za to, że oswojona twoga tym razem będzie tratwą, na której – pokonując przepaście – dopłynę na kraniec świata, aby zajrzeć za błękitną kopułę nieboskłonu i zrozumieć wreszcie to, czego nigdy pojąć nie mogłem, pokochać coś, czego wcześniej nawet nie znałem. Powie ktoś: „O czym ty, facet, pieprzysz, przecież to już było, więc zmień płytę, albo ściemniaj jak zgred trunkowy, a nie jak palant wymiękły, któremu poezja myśli się z lirycznym ślinotokiem” – i będzie miał rację ten ktoś, bo tak to wygląda na pierwszy rzut oka.

Dlatego dzisiaj, po siedemdziesięciu dziewięciu (może po stu siedemdziesięciu dziewięciu, co to w końcu za różnica?) nieudanych próbach skutecznego zerżnięcia koleżanki Muzy, mogę bez ceregieli, czyli bez większych tzw. emocji, napisać: [...]

Początkowy fragment poematu wierszem i prozą.



Krzysztof Szymoniak

Słowo od autora

Pięćdziesiąt lat temu, po kilku sezonach młodzięcych prób z pisaniem wierszy, co można też nazwać twórczością poetycką, postanowiłem sprawdzić, czy potrafię robić to dobrze (trzymać literacki poziom), a najlepiej z zadatkami na poetycki profesjonalizm. Wiedziałem już wtedy, że do pewnych umiejętności można dojść treningiem i nauką, a z pewnymi predyspozycjami po prostu trzeba się urodzić. Mówiąc inaczej, miałem świadomość, że udana twórczość to tradycyjne 10 procent talentu i 90 procent pracy. Zaczęłem układać wiersze w ostatnich klasach szkoły podstawowej, kontynuowałem to zajęcie w liceum ogólnokształcącym, potem było wojsko i... więzienie (za brak miłości do ZSRR i PZPR), w końcu przyszła pora na studia (polonistyka na UAM w Poznaniu), podczas których dotknąłem materii poetyckiej od strony historii, teorii oraz ćwiczeń – od literatury staropolskiej po literaturę współczesną.

O moim losie autora wierszy zadecydowało ostatecznie spotkanie na swojej drodze Krzysztofa Kuczkowskiego, a potem także Krzysztofa Grzechowiaka oraz wspólna z nimi działalność literacka w gnieźnieńskiej Niezależnej Grupie Poetyckiej DRZEWO. To wtedy właśnie, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, zadebiutowałem jako poeta drukowany i – miałem nadzieję – także niekiedy czytany. Kim wówczas byłem? Początkującym czytelnikiem u mistrzów poezji – u tych, których mogłem poznać i z którymi mogłem rozmawiać, oraz u tych, których mogłem tylko czytać w dostępnych mi książkach.

W tomie *Wiersze pierwsze* umieściłem dwie grupy tekstów poetyckich. W części pierwszej znalazły się te, od najwcześniejszych, które w epoce wszechobecnej jeszcze cenzury ukazały się w lokalnych wydawnictwach ulotnych i drukach zwartych oraz – już po roku 1990 – w tomikach własnych i dwóch antologiach. Pierwszą część zbioru zamyka książka, która ukazała się w Kępnie (moim rodzinnym mieście) w roku 2001. Wydawca pomieścił w niej – na zasadzie podsumowania – najważniejsze, a może najciekawsze, moje teksty z minionych dwudziestu lat. W części drugiej znalazły się te wiersze, które niespodziewanie (w formie maszynopisów) odnalazł dla mnie kilka lat temu w swoim domowym archiwum wrzesiński poeta Krzysztof Grzechowiak.

Można więc powiedzieć, że rok 2001 okazał się dla mnie rodzajem cezury, rozdzielał bowiem czas terminowania i czas literackiej już (poetyckiej, a potem także prozatorskiej) samodzielności i samoświadomości. Po kolejnych pięciu latach zerowej niemal aktywności w środowisku osób piszących i publikujących zdecydowałem się, rok po roku, wydać w bydgoskiej Galerii Autorskiej Jana Kaji i Jacka Solińskiego trzy zbiory wierszy: *Wszędzie skąd wracałem*, *29 prac Szymona Słupnika* i *Światłoczułość*. I to właśnie te tomiki wraz z książkami, które zjawily się później, zasługują być może – rzecz jasna wyłącznie z punktu widzenia ewentualnego kronikarza i archiwisty – na osobną opowieść.

A teraz? Podejrzewam, iż należy w tym miejscu postawić pytanie o wartość literacką mojej wczesnej twórczości poetyckiej, zgromadzonej w tomie *Wiersze pierwsze*. Rzecz tylko w tym, że nie mnie to oceniać. Poddaję się zatem pod ogłód i osąd czytającej publiczności, nie zgłaszając w tej kwestii żadnych usprawiedliwień ani tym bardziej nie kryjąc się za kurtyną okoliczności łagodzących.

Krzysztof Szymoniak - „Wiersze Pierwsze”,
Wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich O/Wlkp.,
Poznań 2024.

Krzysztof Szymoniak

trudne słowa

algorytm
imperatyw
paradygmat

oto trudne słowa pierwsze z brzegu
ktoś je wymyślił do czegoś one służą
na przykład naukowcom lub politykom
a nawet niskobudżetowej publiczności
letnich festiwali wszelkiego typu

trudne słowa to takie że gdy je wypowiadasz
w twojej głowie nie wyświetla się żaden
konkretny przedmiot jak choćby
koń taboret marchewka

znam inne trudne słowa
ty ja my nasze dziecko nasi rodzice
gdy je wypowiadałam w mojej głowie
otwierają się oceany i pustynie
w moim sercu drży cienka struna trwogi

potem trzymam się stołu drżącą ręką
patrzę przed siebie w ścienny kalendarz
i w wydrukowane na nim tłustym drukiem
trzy najtrudniejsze dzisiaj słowa
bóg... honor... ojczyzna...

racja stanu

geje w Polsce trzymają się mocno
wspierają się co zrozumiałe tworzą
niewidzialne struktury wpływów
niekiedy piszą wiersze wtedy media
mówią o nich – słynni i świetni
geje w Polsce to nie są te żałosne cioty
z szaletów miejskich ci najwspanialsii
gromadzą fundusze na kształcenie
najzdolniejszych przyznają nagrody
za najpiękniejsze fiuty o których
gej samotnik (właśnie pobity
i okradziony przez poznanego
w parku Adonisa) marzy w długie
bezsenne noce

Erato bałtycka i egejska

Dimitris Pistikos

Rozmowa z Heraklitem

Gdy odwraca się dzień
i słońce zachodzi
zmęczony jego prawdą
rozmawiam wszakże z Heraklitem
o jego słynnym „prądzie”
nie wiem czy ten świat
jest prawdziwy
czy właśnie odszedł
czy właśnie nadchodzi.

Janis Josifelis

Bryza

Ach! Gdyby było możliwe...
Gdybym był wiatrem, co przychodzi
z cytrynowego sadu
pyłkiem kwiatów, świeżością i wonią
cytrynowych kwiatów.
Gdybym był bryzą świtu
z jej wszystkimi lubczykami
z koralu i jeżowców
i wonnych fig,
by pieścić twe włosy
i muskać twe piersi.

Jorgos Tsaprajanis

To nie tak

To nie wiatr,
co przyjdzie żółty znad drzew
by nas dręczyć swymi obłudnymi skrzypcami
to nie tak, że zastygły w nas posągi
tylu ludzi
nawet nie głosy przyjaciół
ktorzy dryfują w naszych sercach
to nie nasze rany, które palą tropikalne słońca.

To Bóg
który nie widzi jak cierpimy.

Anastasija Frondisti

Wyrok

Życie ogólnie przyzwoite,
duchowe i osobiste cnoty,
jako okoliczności łagodzące,
nie zostały uwzględnione.
Wyrok:
Dożywotnie uwięzienie istnienia.

Eleni Gaitadzi

Rozmowa z nieznajomym

Miło, że cię poznałam
i tak samo mi przykro.
Miło ci, żeś mnie poznał
i tak samo ci przykro.
Ja cię namalowałam.
Z pustym miejscem zamiast twarzy.
Ty ulepiłeś rzeźbę
z jednym tylko bokiem,
który cię przypomina i
powiedziałeś, że drugi to ja.
Twarz, której nie narysowałam,
bok, którego nie ulepiłeś,
rozmowa z nieznajomym.
A jeśli zrodzi się miłość?
Jeszcze jedna partia szachów
z czasem...

Popi Pandelaki

Dzieci

Małe gwiazdy
co spłynęły z nieba
Srebrne łzy w naszych dłoniach
Dzieci
Mają ciągłą niepewność w spojrzeniu
Próbują niezręcznymi ruchami
utrzymać się w niedorzecznym świecie
Potrzebują ciepłego uścisku
To gałęzie naszego pnia
Urosną
Pokryją Ziemię
To krew
która ożywi
świat dążący ku śmierci

W ubiegłym roku SPP (oddział w Lublinie) wydało piękną obszerną antologię (364 str.) „Erato bałtycka i egejska”. Książka zawiera dwujęzyczne teksty poetów polskich i greckich w przekładzie i opracowaniu pisarza i dyplomaty Pawła Krupki (edytora antologii) i wybitnego greckiego poety Dimitrisa Pistikosa. W antologii znalazły się m. in. wiersze Jerzego Grupińskiego, Małgorzaty Łyssowskiej-Szczęsnej i Sławomiry Sobkowskiej-Marczyńskiej.

Jerzy Grupiński

Ci, którzy mieszkają na górze Karmel...

Przypomnieniem słów Jorgosa Seferisa i Jarosława Iwaszkiewicza wprowadza Krzysztof Kuczkowski czytelnika do swej nowej książki pt. *Głosolalia*: „Do drzwi zapukają, kto otworzy”, „Do drzwi domu stukanie. A któż to być może?”. Założyciel i redaktor dwumiesięcznika literackiego „Topos” nie rozpieszcza swych czytelników. Książki ukazują się nieczęsto, są jakieś „nietypowe”, inne... Jak choćby poprzedzający *Głosolalia* tom poetycki *Sonny Liston nie znał liter* (2018) z tytułowym motywem amerykańskiego boksera. Liston — mistrz świata w wadze ciężkiej, niby boży prostaczek, postać której profil wiązać można z osobą autora, który w latach młodości boksował w gnieźnieńskim klubie... Tytuł nowej książki związał Krzysztof Kuczkowski z zielonoświątkową tradycją, z Duchem Świętym, tzw. mówieniem językami, z charyzmatycznym strumieniem podświadomości, który — niezależnie od logiki tekstu — trafia do każdego słuchacza.

Autor *Głosolalii* wraca do tomu *Widok z dachu* (1994), do podtytułu swej książki „wiersze — zapiski — dialogi”. Tak też i można by określić omawiane tu zapisy. Można by..., gdyby nie chodziło o „coś więcej”, o jeszcze..., bo *Najmniejsze poruszenie oddziałuje na całą naturę; morze całe zmienia się od jednego kamyka* cytuje Krzysztof Kuczkowski fragment *Myśli* Blaise’a Pascala. Stąd i przysłowiowa „myśląca trzcina” — człowiek, obarczony jest, naznaczony przeznaczeniem — obowiązkiem, który poeta nie waha się ująć w pierwszym z tekstów książki, w formie wskazań. Obarczeni są szczególnie ci, którzy są nosicielami Słowa: *Wszystko jest łaską, również poezja — w poezji wszystko jest ważne*. Dalej czytamy dwukrotnie o powściągliwości... Jest i zakaz mnożenia wierszy „ponad konieczne”. Kontynuując, chciałoby się dopisać „poza zło konieczne” (Sic!).

Tytułowy wiersz *Głosolalia* kreśli eschatologiczną wizję, jak z księgi *Genesis*. Woda — pierwszy żywioł stwórcy — niesie głos. „Czyj głos? Nie wiadomo”: *drze się wniebogłosy i zabójczym / dyszkantem, przenikającym tamy i przeszkody / magnetycznych złóż, sopran chłopięcy przeprawia / na powrót poprzez mroczną geometrię trumny*. Przypomnijmy — dawniej, przed epoką telefonu, ludzie mieszkający nad jeziorami, wieczorem, przy spokojnej aurze, rozmawiali „po wodzie” na znaczne odległości. Niepokojąca siła, tonacja tajemniczego głosu, przenikającego świat, rozlegającego się poza materią, przypomina dźwięki instrumentu — szklanej harmonii, budującej także kosmiczną wizję Wielkiej Improwizacji w III części *Dziadów*; dźwięki przenikające, jęklive, widmowe, jak z innego świata, poza granicami percepcji... Trop, który wydawać się może niepewnym, ryzykancim... ale czyż odwracając kartę *Głosolalii*, nie znajdujemy fragmentu listu „o prawdziwej poezji” Adama Mickiewicza do Hieronima Kajsiwicza? Niech piszącemu te słowa wolno będzie przywołać niezwykle wrażenie, jakie odebrał w zamku,

w Kórniku pod Poznaniem, słysząc po raz pierwszy dźwięki historycznego instrumentu — szklanej harmonii — przenikające, jak z innego świata. Być może bez usłyszenia tego instrumentu (obecnego w sposób szczególny w strofach Wielkiej Improwizacji) nie sposób wyobrazić sobie kosmiczną wizję, jaką roztacza bohater III części *Dziadów*...

Po apostrofie „o sprawach ostatnich najpierwsze przyczyny” w wierszu pt. *Och* poeta go-tów jest porzucić pytania o Słowo, o jego semantykę, bo może wystarczą nam głosy materii: *drapania, pukania, a Może zresztą nie ma żadnego hasła*, jak czytamy. Po ujmujących, otwartych, chciałoby się napisać — bezbronnych, wierszach do Matki, Autor wraca do poprzednich pytań, refleksji. A więc tytułowy motyw „Poruszenia”, a z nim cytaty m.in. z Jarosława Marka Rymkiewicza oraz Josifa Brodskiego: *los tej cywilizacji jest już przesądzony oraz znajdujemy się na krawędzi gigantycznego osuwiska kulturowego*. Z ulgą więc (i chętnie) czytamy wiersz *Cierń*, tekst — credo poetyckie, opowiadające się jawnie po stronie wartości, które niesie religia, wiara że *ta moja mała wiara większa jest / od świata całego i jego skarbów*. Dopelnieniem, tuż za *Cierniem* — *Środa Popielcowa* z popiołem zeszłorocznych palm, przypomina nam dawną opowieść (konsekwentnie od lat skreślaną przez Kościół) jakoby popiół pochodził z kości zmarłych. Kolejne „Poruszenia”, w odróżnieniu od poprzednich, przynoszą czytelnikowi swoisty „akt łaski”, pocieszenia, bo czy zasługujemy aż na taką rozpacz, ciemność? Tak więc w kolejnych przytoczeniach, cytatach „Poruszeń” czytamy, że *poezja leczy rany, łączy wszystko (Novalis)*. Z kolei dzielimy z autorem refleksje, doświadczenia odnośnie aktu twórczego, ośnienia, zachwyty, rzeczywistości pozawidzialnej. *Pierwszorzędne znaczenie / ma zamierzenie poetyckie, tak jak w rzucie ważny jest zamach. / Chodzi zatem o jak największy zamach. O zamach na Wszystko / Poezja musi chcieć udźwignąć świat, unieść cień. Mowa, która chce / udźwignąć świat, musi mieć wielki na ten świat apetyt*. Więc jednak można, więc trzeba... Warto... Pisanie, poezja jak kobieta, która w dzień zadaje rany, a w noc obdara nas Miłością?

Wracając do tekstów *Głosolalii* — znów ten wiersz pt. *Uczciwe opisanie samego siebie nad małą czarną w Centrum Handlowym Riviera w Gdyni*, przy którym w nagłym impulsie dopisałem: „Niezwykły!” Cóż im / mogą powiedzieć? *Śmiecie się, śmiecie, a ja / i tak będę się modlić za mężczyzn z głowami jak / sitowie, za wyzwolone kobiety z pustką w oczach*, bo oto cały blichtr, zachłanność naszego świata, tandeta, potrzeba zagarnięcia — jeszcze i jeszcze więcej... Zostaje, ku zaskoczeniu czytelnika, podniesiona do sfery Sacrum. W miarę czytania rośnie temperatura i... w końcu może jesteśmy wyznawcami-śpiewakami psalmu (wraz z autorem)...? Być może jest tak? Grecy mieli swą agorę, Rzymianie — termy, ludzie średniowiecza, renesansu — katedry, a my — markety, molochy — centra handlowe... *Niebo i ziemia pełne są chwały / Twojej. Galeria jest pełna chwały twojej. Składy / i magazyny pełne są chwały Twojej. Stoiska handlowe / wyśpiewują Twoją chwałę: Sanctus, Sanctus, / Sanctus Dominus, Deus Sabaoth*. Kolejne „Poruszenia” (zawsze przez autora wyróżnione kursywą) studzą nasze emocje słowami Beli Hamvasa: *Sztuka jest zawsze śpiewem i dopiero kiedy człowiek zmieni się w wieprza, uświadamia sobie, jakiej Kirke wysłuchał*. I zderzają się z „pro-

stym", urokliwym, nawiązującym do dzieciństwa, wierszem pt. *Już*.

Generalny, obejmujący większość tekstów – zamysł kompozycyjny książki, to „Poruszenia”, zawierające słowa cytowane, umieszczone między wierszami Krzysztofa Kuczkowskiego w dialogu, w sporze, komentarzu, w innym spojrzeniu, zapisie... Obok ojców Kościoła, teologów znajdziemy tu nazwiska twórców europejskich, w tym i polskich. Ważne słowa Tadeusza Różewicza, obok chętnie przytaczanych romantyków. Ta wielogłosowa narracja, swoisty polimorfizm, ze słowem wiodącym autora, prowadzi nas przez wieki ludzkich doświadczeń, idee, biblijne sceny, postaci, które kształtowały historię człowieka, jego pragnienia, wizje. Jasne barwy słów, nadziei, przeplatają się z czarną perspektywą ludzkiego rodzaju. *Poezja podobna jest do sygnału wysyłanego w kosmos* – czytamy. Wiersze... wierzymy, że samym swoim istnieniem zmieniają świat. Słowami Jarosława M. Rymkiewicza wierzymy wraz z Krzysztofem Kuczkowskim, że tak chętnie głoszone, doświadczane „być sobą” prowadzi do klęski... Zanim zamkniemy ten wielogłos, przeczytamy jasne przesłanie: *Kocham cię, myśląca trzcino, prześwicie, szczelino brocząca / kwietniowym światłem, tańcząca na swym własnym pogrzebie, / adorująca narodziny w śmierci, odkrywająca czułość świata / w miejscu, gdzie nienawiść jest prawem, a oszustwo miarą*. Zgodnie z poglądami zwolenników jansenizmu (do których autor chętnie nawiązuje), natura człowieka jest skażona grzechem śmiertelnym, zepsuta i nie ocaleje bez aktu łaski Bożej. Mimo to: *Bądź pochwalony, człowieku czuwający o poranku*.

Ostatni z cykli pt. *Biały kapitan* kusi, by odnieść skojarzenia do książek Antoniego Ferdynanda Ossendowskiego „*Biały kapitan* i *Okręty zbłąkane*, które autor mógł czytać w chłopięcych latach (?). Nie odrzucając tych skojarzeń, wracamy do przysłowiowego „raju dzieciństwa”, sielskich chwil nad jeziorem, jednak niepozbawionych kardynalnych pytań, wątpliwości, okrucieństwa i grozy, obciążających chłopięce lata. Trop tym pewniejszy, że obok motywu białego kapitana, trafiamy też na postać Tomka Wilmowskiego z chłopackich powieści Alfreda Szklarskiego. To motyw inicjacji, obdarowujący nas soczystymi, pięknymi chwilami chłopięcych doświadczeń, niezwykle postaciami miejskich peryferii, a także ludzi ze społecznego marginesu... [...] *cała niepojęta tandeta Peerelu, [...] jej osobliwy urok z perspektywy minionych lat*.

Obrazy znad miejskiego jeziora Wenecja uzyskują wymiar magiczny, metafizyczny. Przeżyście, świat, w którym wszystko staje się możliwe, niepokojąco istotne i ważne... Zaznaczony przez autora kursywą, fragment tekstu „z gorzkim korzeniem rosnącym w górę” przywołuje mi z pamięci opowieść Sergiusza Sterny-Wachowiaka o gorliwych wyznawcach nauk, żyjącego we Wschowie charyzmatycznego pastora Valeriusa Herbergera, zwanego drugim Lutrem. Grzebiąc jego ciało na wschowskim Campo Santo, uczestnicy pogrzebu w akcie Wiary, posadzili na grobie lipę, lecz korzeniami w górę, a gałęziami do ziemi... Szczepy drzewa, posadzonego w 1626 roku wyrastają z korzeni ponoć i dziś... Zbliżając się ku końcowi cyklu, czytamy podniosły hymn, psalm *O jacy piękni są modlący się ludzie*. Te wiersze zamyka ważny, może kluczowy (ten wyraz „na miejscu”, bo zamyka i otwiera) tekst bez tytułu, słowa, nie-słowa: *Saw lasaw saw lasaw kaw lakaw kaw lakaw / zeer sham zeer sham saw lasaw saw lasaw*.

Tajemna formuła, od wieków wymykająca się interpretacjom, uchylająca pytania badaczy semiotyki, ale uwodząca nas jak magiczne zaklęcie... Dalej więc pytamy z autorem [...] *ale czymże jest poznanie? Język nie musi wiedzieć [...]* śpiew, głos hymnu... Wystarczy płonąć żywym ogniem, *pośród umarłych*, być jak pochodnia. Ten, zaryzykujemy, programowy tekst, daleki od doświadczeń naszego racjonalizmu i empirii, ściśle związany z tytułem książki – *Głosolalia*, zdaje się mówić nam: wystarczy wierzyć i wtedy już tylko – Głos i Śpiew... Książkę zamykają trzy „Poruszenia”, słowo wielokrotnie powtarzające się ... Trzy zapiski... Wśród nich *Są pewne godziny, które nie są* [Ewa Lipska – *Wariacje Goldbergowskie*]. Dalej dwa autorskie teksty. Czytamy o rozmiągających się „porządkach”.

Nie mam czasu na liczenie godzin. Niepoliczane baranki rozpieczają się po rozległych łąkach dni i tygodni i nigdy nie wracają. / To normalne. Godziny są z innego porządku. Z czasem mają niewiele wspólnego. Ich naturą jest rytm.

W Krakowie jest blisko 360 kościołów. Wędrujemy z Ewą i siostrą / Eligią od kościoła do kościoła, od adoracji do adoracji, od Jezusa / do Jezusa. Cierpliwy Jezus chodzi z nami.

Bo, jak czytamy w *Głosolaliach*, *Ci, którzy mieszkają na górze Karmel nie tęsknią za widokami ze szczytu Parnasu. Dlaczego? Bo z Karmelu widać Wszystko*.

Krzysztof Kuczkowski - „*Głosolalia*”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2025.

Esej opublikowany w kwartalniku „Akcent”, nr 2(184) 2026.

Dziękujemy za udostępnienie.

Krzysztof Kuczkowski

Już

zawsze będziesz we mnie,
chłopcze stuimienny,
gminny i gnieźnieński
cny obłoczku senny.

Dużo ciebie było,
a już prawie nie ma.
Nic się nie zmieniło,
a wszystko się zmienia.

Słońce już nie wschodzi,
wieczór nie zapada,
stoją puste kosze,
a jabłko wciąż spada.

Krzysztof Gołębiewski

Między korektą a kreacją

Tekst, który trafia do redakcji, rzadko jest postrzegany jako wersja ostateczna. Nawet gdy autor czuje, że zakończył nad nim prace, zespół redakcyjny widzi go raczej jako otwartą strukturę – coś, co można jeszcze ulepszyć, doprecyzować lub poprawić. Sam język tych działań wskazuje, że dzieło nie jest skończonym monolitem, lecz materiałem do dalszej obróbki. To właśnie tutaj zaczyna się napięcie, które rzadko bywa nazywane wprost: w którym momencie kończy się korekta, a zaczyna proces twórczy?

Na najniższym etapie interwencji sytuacja wydaje się jednoznaczna. Korekta techniczna – dotycząca takich kwestii jak interpunkcja, ortografia czy błędy gramatyczne – nie budzi kontrowersji. Można ją traktować raczej jako zabieg higieniczny niż kreatywny. Problemy pojawiają się na kolejnych poziomach, gdy redakcja zaczyna wpływać na styl. Wyglądanie zdań, skracanie fraz i eliminacja powtórzeń mają na celu zwiększenie klarowności przekazu. Wywód powinien „płynąć” i brzmieć naturalnie. Jednak to właśnie owe zgrzyty często skrywają istotne znaczenia.

Ten problem jest jeszcze bardziej widoczny w poezji. Wiersz, który korzysta z przerw, nie-domówień i nierównomiernego rytmu, łatwo można ocenić jako „chaotyczny”. Redaktor, opierając się na swoim doświadczeniu oraz intuicji, może chcieć go „wyrównać”: ujednolicić wersy czy sprecyzować obrazy. Często osiąga to z powodzeniem – tekst staje się bardziej przystępny, ale równocześnie może stracić coś, co nadawało mu pierwotną siłę: napięcie płynące z niejasności. W tym miejscu redakcja przestaje być jedynie wsparciem. Wystarczy zmiana jednego wyrazu, przesunięcie akcentu, skrócenie zdania. To niewielkie decyzje, które nigdy nie pozostają neutralne. Każda z nich przesuwana sens – czasem niemal niezauważalnie. Po takiej ingerencji utwór nadal nosi nazwisko autora, ale nie jest już dokładnie tym samym dziełem. Granica przesuwana się cicho: od korekty ku współtworzeniu. Redaktor, kształtując formę, zaczyna wpływać także na wymowę. Nie musi to oznaczać nadużycia – przeciwnie, często właśnie w tym napięciu tekst nabiera wyrazistości. Najlepsza redakcja pozostaje niewidoczna. Nie dlatego, że nic nie zmienia, lecz dlatego, że zmienia wszystko bez śladu.

Redaktor ma zazwyczaj szerszą perspektywę niż autor, co pozwala mu dostrzegać aspekty, które mogą umknąć twórcy. Jest w stanie zidentyfikować fragmenty słabe, zbędne lub niejasne. Paradoksalnie, im bardziej przemyślana ingerencja, tym trudniej ją zauważyć. Idealna poprawka nie rzuca się w oczy – czytelnik ma wrażenie, że tekst od zawsze taki był. Dlatego rola redaktora często pozostaje w cieniu. Ta niewidoczność wynika nie z braku oddziaływania, lecz z jego delikatności. Warto zadać pytanie, które rzadko pojawia się w teorii literatury: czy redaktor może być uznawany za współautora? Z formalnego punktu widzenia – nie. Nie podpisuje się pod tekstem i nie ponosi za niego pełnej odpowiedzialności, jednak w praktyce granice są często rozmyte. Miejsca, w których

interwencja zaczyna wpływać na sens, stają się przestrzenią współtworzenia. Możliwe, że współczesna literatura rodzi się właśnie tam – między wizją autora a redakcyjnym szlifem. To już nie jest wyłącznie indywidualny akt, choć trudno to też nazwać typową pracą zespołową. To raczej dialog, w którym jedna strona pozostaje anonimowa. Nie ma wyraźnego rozdziału między korektą a twórczością. To obszar przejścia.

Andrzej Wilowski

Ostatni nadrealista

„Urodziłem się i zrobię wszystko, żeby nie umrzeć, choć wiem, że mi się to nie uda” – powiedział o sobie Zdzisław Beksiński. Każdy artysta marzy o nieśmiertelności. Wszelkie zmagania ze śmiercią są żałosne, bo jedyne, co może przetrwać, to dzieła, ale tylko dzięki pamięci. Większość wybitnych artystów zostaje zauważona dopiero po odejściu. Beksiński zaznał sławy już za życia. Czy dawało mu to satysfakcję z przełamania schematu – wybitny artysta, to martwy artysta?

Gdy mówimy o malarstwie Zdzisława Beksińskiego, to rozważania o śmierci są czymś naturalnym. Mroczne, nadrealistyczne wizje, w których cień śmierci jest widoczny. Martwe krajobrazy, rozpadająca się architektura, cmentarne pejzaże, odrealnione postacie. Sporo jest w tym wszystkim mrocznej baśniowości, katastroficznej wizji cywilizacji w rozpędzie, destrukcji, umierania ludzi i rzeczy na różnych poziomach. Wiele w tych obrazach symboli i metafor, malowanych z taką precyzją, jakby to były fotografie snów. Jego obrazy, gdziekolwiek się pojawiały, budziły dreszcz grozy i zachwyt nad wizjonerstwem.

Zdzisław Beksiński urodził się 97 lat temu w Sanoku. Ukończył architekturę i jako młody człowiek marzył o projektowaniu sylwetek samochodów. Nie zdążył zblżyśnąć w architekturze, ani w sztuce inżynierskiej, bowiem szybko przyniosły mu sławę rysunki i obrazy. Sięgał też chętnie po aparat fotograficzny, utrwalał nim swoją wizję rzeczywistości. Stałe ekspozycje malarstwa w rodzinnym Sanoku i odległej Osace, zawrotne ceny, jakie osiągały płótna na aukcjach, nie zmieniły go, nadal żył na uboczu, unikając taniej sławy i saloonów.

W latach osiemdziesiątych cień śmierci pojawił się w jego biografii, gdy zmarła na nowotwór jego żona. W 1999 roku w Wigilie Świąt Bożego Narodzenia popełnił samobójstwo syn Tomasz, zapowiadający się na wybitnego tłumacza, znany miłośnik gotyckiego rocka. Ojciec, miłośnik muzyki symfonicznej, malował niemal zawsze słuchając muzyki, podzielał również zainteresowania muzyczne syna. Czy tłumacząc listy dialogowe do horrorów, rozczytując się w powieściach Stevena Kinga, Tomasz chciał zbliżyć się do świata mrocznych wizji obrazów ojca? Jakże demony zabrały go w świat, z którego nie ma powrotu?

Zdzisław Beksiński żył na warszawskim Mokotowie, chciał być niezauważany. Jego mieszkanie przypominało twierdzę. Miało systemy alarmowe, a kamera w drzwiach rejestrowała każdego gościa. Odwiedzających było niewielu.

W poniedziałek rano znaleziono jego ciało z siedemnastoma ranami zadanyimi nożem.

Andrzej Szmaj

List do Ireny Conti

(niedokończony i niewysłany)

Muddus, Laponia, 26. IV. 04

Pani Ireno!

Obiecałem do Pani napisać z odludzi Laponii. Tymczasem długa lapońska zima kończy się. Wyjechałem z Poznania pod koniec listopada i dołąd Laponii nie opuściłem. Co nie znaczy, że spędziłem cały ten czas daleko od ludzi. Mam tu przyjaciół i jakieś tam życie towarzyskie – dobrze jest, jeśli połowę czasu spędzę w „terenie”.

Popołudnie. Słońce grzeje łagodnie. Wokół las – prawdziwy, nie sadzony. Sosny i świerki w różnym wieku, trochę niskich brzoź, jakaś tam iwa... Śnieg jeszcze prawie wszędzie, mokry, ziarnisty, ciężki. Rankiem chodzą po nim tokujące głuszcze. Raz były blisko, sto metrów stąd. Zwykle ich głosy dobiegają z któregoś bagienka dalej wśród lasów.

Wiosna to pora niebezpieczna – wezbrane wody mogą utrudnić powrót do ludzi. Dziś poszedłem nad potok Rimojäkkä i okazało się, że już pełno wody na lodzie, gdzieś tam otwarte bystrza. To znaczy, że nie mogę wracać do Porjus trasą, którą tu przyszedłem ponad trzy tygodnie temu. Nie mam nerwów, żeby dłużej czekać – mimo że tu pięknie, a we wsi wiosna jest chyba najmniej estetyczną porą roku. Choć pewnie tam już słychać śpiew ptaków w coraz jaśniejsze wieczory. Noce nie są już całkiem nocne...

Cóż – jeśli tej nocy przymrozi, pewnie pojedę rano w stronę wsi (miejscowości, bo niezbyt tam sielsko) Porjus, około dwadzieścia kilometrów stąd. Aż szkoda – i kusi, żeby jeszcze zostać parę dni, aż do wykończenia zapasów żywności.

Widzi Pani – sama proza!

Poezją jest las... Bez słów... Poezją i muzyką... Sosny są muzyką... Każda inna, niepowtarzalna... Światło popołudnia jest poezją... Światło gwiazdzystych nocy i zorzy polarnej... Światło słonecznych czerwcowych nocy, w porze polarnego dnia... Cisza – tinnitus szumi mi niemiłosiernie w uszach, stuką sztuczna zastawka serca. To proza. Reszta to poezja. Łagodny szum wiatru w koronach sosen, w prześwieconym słońcem lesie – tu nie ma tłoku, jest przestrzeń nawet wewnątrz lasu. Wiatr przynosi szum potoków – trudno już będzie zatrzymać wiosnę, gdy woda skacze po kamieniach, spływa po lodzie – żółto-brunatna, jak herbata. Tymczasem jest ciepło, plecy oparte o ciemno malowaną drewnianą ścianę chatki – nie ma ona okna z tej strony. Nisko, przy gruncie – chłód. Przecież wokół śnieg, tylko pas metrowej szerokości za chatką odsłonięty – bezlistne krzewinki czarnej jagody, ulistnione – borówki. Pojedyncze, nieliczne, odchody głuszców i zajęcy bielaków. To dla podniesienia kolorytu. Las jest czysty...

Poezji zapisanej – niewiele. Trochę krótkich tekstów, które można wysłać z telefonu komórkowego jako sms-y. Za dużo we mnie niepokoju. Za dużo tej wiosennej prozy, czekania na radiową prognozę pogody, jak na wyrocznię. 21.50 to prognoza wieczorna. Dużo słów wokół mnie. Mam tu radio. Parę książek też. Słowa... Poszedłem po nową kartkę i przy okazji założyłem nylonowe

spodnie. Kartka do zapisywania słów pośród błogostawianego bezsłownia lasu... Na

PROTOKÓŁ
kulturalny

Nr 97/2026

szczęście w radiu bzdury. Kiedyś nie miałem radia, bywało, że tylko tomik lapońskiej poezji Paulusa Utsi (dwujęzyczny) na dwa – trzy tygodnie.

Takiej ciszy nie mogę znaleźć w Polsce. Ani takich lasów – nie czułem się dobrze w Puszczy Białowieskiej w październiku. Poza rezerwatem – wszędzie ślady ludzkiej krzątaniny, wyrąbanych drzew. Jak słowa wymazane z poematu. I całość nie ma już tam pierwotnego sensu, wszystko takie bez ładu i składu.

Te lasy też nie są nietknięte, ale to sprawa jakiegoś pniaka tu czy tam. Nietknięty siekierą bór sosnowy to i tu rzadkość. Niecałe dwa kilometry stąd zaczyna się zalesiona poręba, która ciągnie się do rzeki Lule w dole i hen w jedną i drugą stronę. Większości starych lapońskich lasów już nie ma. Ogromne poręby i nudne młodniki dominują. To, co mam wokół, to już wyjątek. Mogę się tylko cieszyć, że ten las jest.

Mam inne ukochane miejsca nad jeziorem, wewnątrz parku narodowego Muddus, od 15 marca do końca lipca niedostępne dla odwiedzających, jako obszar ochrony ptaków. Utworzony w latach czterdziestych wraz z parkiem celem zachowania lęgów ogromnie wtedy rzadkiego łabędzia krzykliwego. Jak widać udało się, łabędzie słychać i widać teraz na co dzień. Tam w sercu Muddus zrobiłem większość swych leśnych zdjęć i napisałem sporą część poetyckich tekstów. W długie zimy i znacznie krótsze jesienie.

A łabędzie krzyczą i tu. Słyszałem dziś rano. Wczoraj zaś – żurawie. W takiej ciszy...

Moje rodzinne miasto jest mordercą uszu. Oczu też – bo na co tam patrzeć. Cytując Conrada „The horror, the horror!” Zwłaszcza z perspektywy lasów i bagien Muddus. Białe, nadal białe bagna zamiast wielkopolskich pól, łagodne linie przenikania bagien i lasów... Wszystko na swoim miejscu. To nie chaos. Może to spojrzenie biologa na społeczność lasu, organizm lasu... Lec i spojrzenie poety na poezję, żywą poezję, zmienną w każdym mgnieniu oka! Poezję roztańczonych drzew. Drzewa – stuletni ruch. Sosny wybiegające na bagna...

Słońce niedługo schowa się za kilka drzew. Czas kończyć pisanie na kolanie, na magazynie myśliwskim „Wszystko o łowach i broni” z 1991 roku. Skąd on tutaj? Chatkę postavili myśliwi z Jokkmokk. Tuż poza granicami parku narodowego.

Cieszę się, że coś do Pani napisałem. Po 24 dniach i nocach na odludziu. Dziesięć kilometrów od najbliższej szosy – trochę ją słychać w tej ciszy, gdy wiatr stamtąd.

Palce zaczynają marznąć, dwie i pół godziny do wieczornej prognozy pogody – czy pozwoli mi zostać tu jeszcze parę nocy i dni? Łada dzień, łada noc – zacząć śpiewać ptaki. Drodzy, pleszki. Kukułki przylatują później, pod koniec maja i mogą wtedy kukać w jasne noce, gdy leżą jeszcze płyty śniegu.

Laponia... Sápmi...

Ten list, napisany w lesie na progu wiosny, nie został nigdy dokończony i wysłany. Nie pamiętam już, dlaczego. Może przeprowadzka później tego lata, może... Z Ireną Conti rozmawiałem chyba tylko raz przez telefon. Była przyjaciółką mojej licealnej nauczycielki polskiego, która pokazała jej kilka moich wierszy. Zyskały one pozytywną opinię poetki.

Janusz Urbaniak

Prawdziwe wiersze

miałem być tylko oddechem
który zamiera a potem znowu
rodzi się, coś obdarzyło mnie
myślą

słowo które przychodzi
rozpala gdy w bólach powstaje
dzień chciałbym roztopić się
rozpuścić w powietrzu

staram się przeczytać twój
wiersz litery na zabliźnionym
brzegu rany

jest w tobie piękno człowieka
w twoich dłoniach skrywa
się strach

piszesz prawdziwe wiersze
spoglądasz w siebie
i czekasz

można pisać prawdziwe
wiersze można czekać

Michał Sławski

Petra

Smak herbaty miętowej
słodki jak wakacje w NRD
Wspomnienie starej miłości
rozgrywanej na tenisowym stole

Rdzewieje huśtawka na placu zabaw
w zapomnianej krainie
Zarosły wrzosami
boiska dziecięcych zabaw

Ulatują ślady pamięci
jak powietrze z dziurawej piłki
Pożółkłe listy, blaknące literki
zamazane twarze przeszłości

Oddalają się ostatnimi Trabantami
nawet nie pragnę wiedzieć co u Niej
Smak herbaty miętowej
tyle mi zostało z tamtego lata

Anna Landzwójcza

niepojęte pragnienie

pośród pospolitych traw
wyrosła czerwona róża
tak bardzo zapagnęłam
czerwonej róży aż mgła
zasnuła oczy i skropliła się w rosę
zniknął
dookolny świat i ludzie
obcy ludzie pełni obcych spraw
spośród pospolitych traw wyrwałam
czerwoną różę
w moich palcach straciła zapach a jej płatki
nie przylgnęły aksamitem do szorstkich
policzków
czerwona róża
drapieżnymi kolcami przekłuła żyły
do czerwonej krwi

Stefania Pruszyńska

Donos publiczny na noc w moim mieście

Nie jest już tą roześmianą siostrą księżycą
i dobrodziejką z różdżką ulicznych latarni
Teraz supermaga udaje, mroku hipnotyzerkę,
gdy miota i celuje potokami ostrych świateł
Albo choreografa chaosu i pędu szaleńców
dokąd? że wbrew naturze, wiecznym zegarom
A jak walczy kakofonią egoizmu Jak ziej
zaduchem! I to wprost w nozdrza detektorów
rozpiętych tajemnie tu ówdzie czujnych!
I pewnie je suto tuczy, choć piszą dla spokoju
obywateli, że marnie się ma to jej wcielenie,
demon o imieniu Smog, i można oddychać
A rzadko karmi ciszą i błogostanu nie zsyła
ani snu w obfitości noc w moim mieście
Podstępna jest, ostrzegam, i sroga diablica
z nieznanym dossier z ogrodów Semiramidy...

o. Eligiusz Dymowski

Majaki

tej grudniowej nocy
obudził mnie dotyk pająka

skąd pajak i sieć nad moją głową
- pytam myśli spłoszonych w ciemnościach -

na zewnątrz cisza i lekkość śniegu
opadającego na ziemię

tylko we mnie niepewność
i wieczna lampka nadziei

Rozmowa z Krzysztofem Pendereckim

K S Początek pańskiej kariery był niesłychanie błyskotliwy. W 1959, zaledwie rok po ukończeniu krakowskiej Wyższej Szkoły Muzycznej zdobył pan trzy pierwsze nagrody, dziełami zupełnie awangardowymi. Następne dzieło również awangardowe, „Hirosima” przyniosła panu już sławę światową. Co było tajemnicą tych niesłychanie szybkich sukcesów?

K P Mój język muzyczny, jakkolwiek bardzo radykalny, był zupełnie odmienny od tego, w którym się wówczas wyrażano, szczególnie w porównaniu z niemiecką i francuską awangardą. Ja pisałem zupełnie inną muzykę, która była przeciwieństwem wszystkiego, co wtedy tworzone na przykład w Darmstadtzie, w latach pięćdziesiątych. Moja muzyka opierała się nie tylko na wartościach warstwy dźwiękowej, ale naturalnie bardzo interesowały mnie możliwości tkwiące w poszczególnych instrumentach, w kolorze ich dźwięku, zwłaszcza w instrumentach smyczkowych, powodzenie mojej muzyki wywodziło się z jej odmienności, z tego, iż była zupełnie inna. Moja muzyka była muzyką subiektywną, a nie podobnie zobiektywizowaną, jaką była wówczas niemiecka, w kręgach darmstadtzkich. Wspomniabym dwie wartości, które były mi wtedy szczególnie ważne: pierwszą była siła wyrazu, ekspresyjność, zupełnie obca tamtej muzyce, drugą natomiast eksperymenty, które odnosiły się do samego brzmienia.

K S Niedługo później, bo już w połowie lat sześćdziesiątych zaczął pan odchodzić od awangardowego eksperymentowania. Stał się pan postmodernistą, co zauważalne jest na przykład w „Pasji”, a nawet jeszcze wcześniej, początkowo w samoistnej jej części: w „Stabat Mater”. Co spowodowało u pana tę zmianę artystycznego smaku?

K P Kiedy już wykorzystałem te możliwości, o których myślałem początkowo, iż są nieograniczone, w końcu lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, postanowiłem sięgnąć do tradycji, bo dotychczasowa muzyka mnie nie zadowalała. Dlatego postanowiłem, że nadal będę eksperymentował. To była na przykład szkoła holenderska, z której skorzystałem, jako z tradycji, ale z językiem awangardowym, w „Stabat Mater”, później zaś w „Pasji”, która była pierwszą próbą polistylistyczną, w której podszedłem do nowej strony do możliwości brzmienia. Tak zatem zwróciłem się do elektroniki i poszedłem nawet pracować do pewnego studia elektronicznego. Jednak i elektronika mi nie wystarczała, nęciła mnie inna nowa, podniecająca przygoda, muzyka ostatniego dziesięciolecia renesansu.

K S Kolejna dekada, lata siedemdziesiąte, przynosi dalsze, jeszcze silniejsze nawiązania do muzyki tradycyjnej, a dominantę stanowiły renesans i barok, a szczególnie późny romantyzm, że przytoczę „Kwartet smyczkowy” z roku 1976, lub też operę „Raj utracony” z 1978. Po przejściowym wyciszeniu masy dźwiękowej następuje okres patosu. Jakże były tego przyczyny?

K P Eksperymentowanie to nie tylko tyle, że wymyślimy coś nowego. Dla mnie były to próby, próby siły, kiedy musiałem zmierzyć się z czymś

nieznanym i wypróbować różne techniki w celu ich osiągnięcia. Zawsze dążyłem do

syntezy – poza pierwszym okresem, który był okresem Sturm und Drang. Potem zacząłem odkrywać przeszłość. Ta przeszłość nie była decydująca, ale w każdym razie kierowała moim muzycznym smakiem. W owym czasie dyrygowałem dzieła Sibeliusa i Szostakowicza. A interesowała mnie również muzyka Brucknera i Mahlera. To były przyczyny, dla których ta muzyka inspirowała mnie w trakcie tworzenia. Był to szczególny okres, w którym zacząłem coś takiego, co inni potem naśladowali. Szczególnie wielu młodych podążyło w tym kierunku, gdzie ja byłem inicjatorem. Dlatego też ówczesna krytyka skrupiałała się na mnie, jednak teraz, po dwudziestu latach widzę, że była to w muzycznym świecie smaku słuszna droga.

K S Dla lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych charakterystyczny jest następny zwrot. Nastąpiła redukcja środków wyrazu, odwrót od form monumentalnych. Coraz więcej jest utworów o skromnych rozmiarach, a lapidarne stają się i dzieła czasowo długie, jak opera „Czarna maska”. Co skłoniło pana do tego samoograniczenia?

K P Wydaje mi się, iż w miarę, jak człowiekowi przyrasta lat, rezygnuje z potężnego brzmienia, z form orkiestralnych, przekonuje się, że wszystko co dotychczas robił, a może i więcej, można wyrazić przy pomocy trzech czy czterech instrumentów i ich dialogu, niepotrzebna jest zatem wielka orkiestra. Jest to rezygnacja z owego balastu, który oznacza świadomą redukcję niepotrzebnych środków, ale – wie pan – do tego trzeba dojrzeć.

K S Droga pańska jest zawiła i pełna eksperymentów o różnym charakterze. Tak jak w pierwszym okresie awangardowym wysiłkiem nowatorskim było u pana na przykład zastosowanie techniki ćwierćtonowych klasterów czy barw dźwiękowych oraz szmerów jako podstawowych elementów struktury muzycznej, podobnie późniejsze nawiązanie do postromantyzmu czy innych stylów tradycyjnych było zapewne próbą dalszego rozszerzania horyzontów muzycznych. Jak odczuwa pan w rezultacie eksperyment jako środek rozwoju muzyki? Gdzie kończą się jego zalety, pożytek wynoszony z eksperymentu?

K P Wydaje mi się, że człowiek, zwłaszcza młody artysta, musi przejść przez wszystkie stopnie eksperymentowania, w tym również przez czyste eksperymentowanie, co oczywiście nie zawsze łączy się z tym, że publiczność go za to oklaskuje. U mnie stało się całkowicie odwrotnie, na przykład „Hiroszima”, będąca dziełem silnie eksperymentalnym, bez mojego udziału przyniosła mi sukces, normalnie bywa jednakże odwrotnie. Uważam, że wchodzący w życie młody artysta powinien najpierw odrzucić to wszystko, czego nauczył się w szkole, jako śmieć, jako coś nieprzydatnego, by po jakimś czasie powrócić do tej muzyki i to jest charakterystyczne dla całego szeregu muzyków. Spójrzmy na Strawińskiego, który odrzucił wszystko, cały rosyjski wiek dziewiętnasty, by znaleźć własny język muzyczny już w pierwszym balecie. Potem zaczął powracać i w końcu przyjął z satysfakcją dawną muzykę. Tak powstał u niego okres neoklasyczny. Wreszcie odkrył dla siebie muzykę Schönberga, zainteresował się nią i komponował dzieła w stylu dodekafonicznym.

K S Były u pana Nr 97/2026 i porażki, jak na przykład wtedy, gdy wygwizdano „Kanon”, w 1962 roku, na Warszawskiej Jesieni Muzycznej.

K P Proszę pana, jaki byłem wtedy szczęśliwy, iż taka jest reakcja publiczności. Już wtedy pracowałem nad następnym dziełem, a o tym wiadomo było, że nie mogło się podobać. Zresztą sytuacja była specyficzna, na prezentację „Kanonu” pewien profesor, który wykładał kompozycję, oczywiście bardzo konserwatywny, tradycyjny profesor, pan Rittel, przyprowadził swoich wychowanków i kupił im nawet gwizdki, żeby mnie wygwizdali. Mnie to jednak tylko bawiło. - Wie pan, początkowo na przykład cały szereg orkiestr był przeciwny grze moich dzieł. Na przykład w Sztokholmie, w Monachium, bądź w Rzymie zespoły orkiestralne strajkowały, nie chciały grać tej muzyki.

K S Gdzie pan jednak widzi granice eksperymentu? Czy to pan oddalił się od awangardy, czy też ona pozostała z tyłu?

K P To nie ja zdradziłem muzykę awangardową, a awangarda lat sześćdziesiątych zdradziła muzykę. Artysta powinien się rozwijać, iść w kierunku nowych rzeczy. Jeśli ktoś otoczy się ścianami jednego rodzaju wypowiedzi muzycznej i jest niezdolny wyjść z tego kręgu, to powstaje z tego akademicka awangarda, będąca jeszcze gorsza, niż tradycja, ponieważ staje się kopiowaniem pewnych wzorców, podczas gdy owe wzorce już nie są aktualne.

K S Uprawia pan nie tylko działalność kompozytorską. Jest pan także - i to właściwie stale - pedagogiem. W latach siedemdziesiątych - osiemdziesiątych był pan nawet rektorem Krakowskiej Akademii Muzycznej, tej instytucji, której jest pan wychowankiem. Powszechnie znane są pańskie nietypowe wypowiedzi na temat ...

K P tak, na tematy pedagogiki...

K S O pewnym profesorze, który swoją drogą był znanym kompozytorem, wykładowcą Akademii Krakowskiej wyraził się pan w ten sposób: „nigdy nie zgadzałem się z Arturem Malawskim.” Krąży także anegdota, iż jeden z wykładowców zaczął pan w taki sposób: „Nauki o harmonii dźwięków mogą państwo nauczyć się sami, bo jest to tylko matematyczna precyzja, ja natomiast opowiem o tym jak można owe zasady odrzucać”. W rezultacie jak pan traktuje zadania pedagogiczne?

K P Był okres, kiedy pedagogika bardzo mnie interesowała, przekazywanie tego co sam robiłem, bo wtedy wszystkich niesłychanie intrygowała muzyka awangardowa, również i studentów, dlatego uczyłem ich takiego języka muzycznego, jakiego sam też używałem. Później uległo to zmianie, proszę popatrzeć, pisać taką muzykę, jak moja, do tego potrzeba wielu lat nauki, tego nie można tak tylko sobie przyswoić. Poza tym nauczanie kogoś, kogo wyłącznie interesuje awangarda lat pięćdziesiątych, nie ma żadnego sensu.

Rubens miał pracownię, dwudziestu uczniów, którzy czasami mogli go podpatrzeć, czasami też mogli coś tam dorysować, domalować, jakiś kawałek stroju, lub to na co ich mistrz wyraził zgodę, tak trzeba, by słuchacze studiowali - naturalnie - nie tylko moje partytury, ale i inne, żeby uczyli się sami.

Był to taki okres, kiedy na szkoły wyższe nakładał się ogromnym ciężarem wpływ partii,

ponieważ jednak byłem już wtedy znany, mogłem być dla Krakowskiej Akademii pewnego rodzaju tarczą ochronną. Mogłem pozwolić sobie na więcej, bardziej mogłem wpływać na ministerstwo, aniżeli inni. Mogłem tam iść, albo nawet do Komitetu Centralnego partii, by uzyskać pieniądze dla uczelni. Muszę przy tym powiedzieć, że oni bardzo wspomagali artystów i nie mieliśmy większych trudności finansowych. W przeciwieństwie do czasów obecnych. Komuniści mieli kompleksy, bo wiedzieli, iż społeczeństwo ich nie przyjmuje, a ważny był dla nich obraz zewnętrzny, zewnętrzna ocena.

K S Od kiedy zaczął pan dyrygować?

K P Potrzebny mi jest bezpośredni kontakt z muzyką. Wie pan, kiedyś byłem skrzypkiem, początkowo nawet tylko na ten instrument pisałem i wykonywałem jedynie swoje utwory, był u mnie zatem jakiś łącznik pomiędzy dziełem pisanym i samym wykonawstwem. Potem przestałem być skrzypkiem, nie ćwiczyłem już, zajmowałem się wyłącznie komponowaniem. Powstała w rezultacie jakaś próżnia. jednym słowem możliwość, iż to co robię, mogę połączyć z żywym instrumentem, takim jak orkiestra. Było to nadzwyczajne uczucie. Poza tym, widzi pan, człowiek dochodzi do pierwotnego wyobrażenia muzyki, do źródła, do tego wszystkiego, co nie zostało napisane w partyturze, bowiem materiał napisany to nie wszystko. Uzupełnienie owego braku dokonuje się dopiero we współpracy z orkiestrą.

K S Na początku lat siedemdziesiątych kupił pan dworek szlachecki w Dusławicach koło Tarnowa. Jest to drugi pański dom obok krakowskiego. Dlaczego było to potrzebne?

K P Był to bardzo spustoszony dwór, który jednak, na szczęście, miał właściciela, tak więc mogłem go kupić prawnie od niego, a nie otrzymałem od państwa. Początkowo urządziłem tam trzy festiwale. Zaprosiłem na nie, biorąc pod uwagę, że w latach osiemdziesiątych była zupełnie inna sytuacja, niż teraz, tylko takich kompozytorów, którzy mieli trudności polityczne.

K S Po młodzieńczym utworze „Psalmy Dawida” już nie używał pan polskich tekstów. Dopiero po wyborze kardynała Wojtyły na papieża i kiedy narodziła się Solidarność, jak gdyby odrodziło się w panu nawiązanie do polskości, do narodu. Myślę tu o „Te Deum” i o „Lacrimosie”, które włączył pan w latach osiemdziesiątych do wielkiego i wspańskiego dzieła „Polskie Requiem”. Jak pan dzisiaj widzi polskość swoich utworów, dzieł wielkich?

K P Wtedy zaistniała w Polsce szczególna sytuacja, powstała nadzieja, iż potrafimy zrzucić owo jarzmo, które nosiliśmy przez czterdzieści lat. Był to bardzo ożywiony okres, który pełen był przedziwnych uczuć. Wtedy właśnie przyszedł do mnie Lech Wałęsa i poprosił, abym skomponował utwór pamięci gdańskich ofiar robotniczych, a więc „Lacrimosę”. Potem, po śmierci kardynała Stefana Wyszyńskiego napisałem „Agnus Dei” i tak powoli powstało „Polskie Requiem”, które jako całość odzwierciedla polską martyrologię, choć przecież nigdy nie myślałem o sobie, jako o kompozytorze politycznym. Wówczas była to jednak kwestia emocjonalna, nie mogłem pozostać obojętny. W przyszłości nie zamierzam działać podobnie, chyba ..., chyba, że powstanie sytuacja zbliżona do tej z lat osiemdziesiątych.

K S Czy można pańską polskość w ten sposób interpretować, iż jest to twórczość uniwer-

salna, znana na całym świecie, o której można mówić, iż dzięki niej uwaga świata zwraca się i na Polskę?

K P Naturalnie, bo to sprawa naturalna. Trzeba jednak pamiętać, że „Requiem”, często grywane jest w Japonii, czy też w Południowej Ameryce, gdzie nikogo nie obchodzą polskie kłopoty. Dlatego też utwór ten jest tam odbierany wyłącznie jako dzieło muzyczne, niezależnie od tego skąd pochodzi. Jeżeli to dzieło jest dobre, oddziałuje na słuchacza muzycznie. Ja jednak byłem i jestem kompozytorem polskim i takim pozostanę.

K S A jakie związki ma pańska twórczość z muzyką węgierską? O ile dobrze wiem, w młodości zachwyciła pana muzyka Beli Bartóka, później pańskimi dziełami dyrygowali również świetni węgierscy dyrygenci, jak na przykład Antal Doráti.

K P Bartók bezwzględnie jest kamieniem milowym muzyki dwudziestego wieku, oddziałował on na nas wszystkich, może na moją muzykę bezpośrednio nie, ale na muzyczne myślenie tak. Nawet taka indywidualność jak Witold Lutosławski znajdował się pod wpływem jego muzyki, przykładem tego może być „Koncert na orkiestrę”, albo „Muzyka żałobna na orkiestrę smyczkową”, poświęconą nota bene pamięci Bartóka. Moje kontakty z Węgrami były bardzo dobre, szczególnie w latach po rewolucji węgierskiej, przyjeżdżało do Polski mnóstwo Węgrów. Lubilem jeździć na Węgry i ja. Niestety, coraz rzadziej mam czas na to, ale miałem tam dobrych parę koncertów i mam nadzieję, iż znów tam pojadę, jak mnie zaproszą.

K S Osiągnął pan w życiu już niemało. Co uważa pan za istotne z tego w świecie muzycznym, a i poza nim?

K P Teraz, już po sześćdziesiątce, człowiek zaczyna naprawdę rozumieć muzykę. Jest zdolny odrzucić wszystko co niepotrzebne, a skupiać się na tym co najważniejsze. U mnie dzieje się to tak, iż ostatnio muzyka kameralna, tworzenie muzyki bardziej osobistej, muzyki intymnej interesuje mnie silniej, aniżeli jakiś muzyczny zgiełk, czy harmider. Jeżeli człowiek uzyska sławę światową to nie jest takie istotne czy zagrają moje utwory w Londynie, czy będę w Nowym Jorku, a ważne jest to, bym napisał kolejny utwór, a nie czy gdzieś tam znowu pojadę.

K S A w sprawach ogólnych, ogólnoludzkich?

K P Stale marzę o tym, bym zyskał więcej wolnego czasu, abym mógł posiedzieć sobie w lusławickim ogrodzie, posadzić tam więcej drzew, bo - wie pan - drzewa są moim życiem, przedłużeniem mojej wyobraźni... one są symbolem życia, dlatego chciałem posadzić.

K S Na Węgrzech mówi się, że drzewo orzechowe człowiek sadzi dla wnuków.

K P I jest w tym wielka racja.

Grudzień 1993

Zamieszczamy niepublikowany dotąd wywiad (poza emisją w węgierskiej TV „Duna”). Tekst ukaże się w wydaniu książkowym w budapeszteńskim wydawnictwie „Unikus”. Autor wywiadu to wybitny polski pisarz mieszkający od pół wieku na Węgrzech, były członek historycznej, poznańskiej grupy literackiej „Wierzbak”. W listopadzie mija 70 lat od pierwszego wystąpienia grupy. Dziękujemy.

Krzysztof Gołębiewski

Kieszonka na sercu

Nigdy
w twoją stronę:
kiedyś to słowo było krzykiem
dziś jest tylko decyzją

Szedłem tam
sam z pustymi kieszeniami
i pamięcią która jeszcze
nie należała do mnie

Teraz nie idę choć nic
nie stawia oporu
bez broni
bez usprawiedliwień

Dowód zawsze był
w kieszonce na sercu
i tam pozostał:
wystarczy że wiem
gdzie nie muszę być
sam

Jakając się z miłości

Nie-do-śpie-wać się
przy twoim sutku
jak przy kaloryferze szczęścia

Nie-do-sły-szeć się
w twych wargach
ciemnych od powątpiewania

Nie-do-cze-kać się
z ręką otwartą
jak z nożem w bramie

Język
nie wytrzyma
i robi to
za mnie

Kluczę

W lewo w prawo po skosie
objam się jak ćma o szybę
z tej szafy pełnej liter
wyjścia nie ma

Franca trzyma zimno
jak poranna blacha
kluczę w myślach
chowam się w słowach

Jedno wyjście
bez cofania
droga zwęża się w ciemność
Jeszcze

Artur Dudziński

Pamięć

Patrzący przez okna. Byle na ulicę, na życie, którego brak między sześcioma ścianami pokoju, znanymi po pamięć. Oczy wypadają i toczą się po parapetach. Spadają na trawniki, chodniki. Ulica jest bilardowym stołem. Kij nudy albo rozpacz uderza w bile pełne żreń. Byle odwracać się od sześcianu, gdzie nie ma życia. Tam nie ma już nic. Pan łokciowy, pani łokciowa, jak mówi ulica, w autoportretach zawieszonych ponad chodnikami. Byle nie do pamięci, gdzie — rozpacz i śmierć.

Kobieta kroczy. Klei się do kobiety trotuar, ulica. Klei się dzielnicą spojrzeń. Ciało kobiety wylewa się pęknięciami w odzieniu. Kobieta wlecze za sobą miasto. Każdy krok kobiety jest tektonicznym wstrząsem. Ziemia pęka. Trzeba pamięci lub innej zręczności, by nie wpaść w powstałą szczelinę na zawsze.

Zmierzch oddaje kobietom piękno. Poeci zamykają to w szkatułkach zdań. Kobiety ożywają zmierzchem, poprawiając włosy, nerwowo ocierając się o lustra, witryny sklepów. Pragną odbicia męskich oczu. Żądają potwierdzenia, że to one są naczyniami boskości. Z wiekiem, gdy wzrok mężczyzny słabnie, widzą oni kobiety przez pamięć. Najważniejsze, by o tym nie mówić. Pamięć uzupełni brak a jej domeną jest zmrok.

Pamięć jest czarnym i ciężkim plecakiem ze stelażem, który utrudnia chód. Nie można go zdjąć.

Jerzy Beniamin Zimny

Hotel Brix

Po pracy jak zwykle wstąpiłem do baru. Jak zwykle zamówiłem parówki i dodatkowo, nie jak zwykle, a wyjątkowo dzisiaj, zamówiłem śledzia w oleju z cebulką. Siedzę przy kolacji, rozmyślam o tym i owym. Minuty płyną, kwadrans, zeszło pół godziny. Mógłbym już wyjść, ale było mi dobrze w tym lokalu, jakoś dziwnie dobrze, jak nigdy dobrze. Nieraz człowiek wokół własnej głowy zawiązuje niewidzialny supeł i nie próbuje go rozwiązać. Jest mu tak dobrze i coraz ciśniej zawiązuje ten supeł, aż traci oddech i wtedy wie, że istnieje, że żyje tak jak tego pragnie. Tak właśnie jest ze mną i nie próbuję tego zmienić, i pewnie nigdy nie zmienię, chociaż powinienem.

Pora na mnie? Takie pytanie do siebie może nie jest na miejscu, ale czy można mówić o odpowiedniej porze, kiedy człowiek jest sam i nic go nie goni, do nikogo nie zmierza i wielkie nic jest przed nim? A jednak pora na mnie, nie ta właściwa jeszcze i ta najważniejsza, ale jedna z tych małych pór, które prowadzą do ostatecznej, która musi nastąpić mimo zwątpienia i przeciwności na przekór niewidocznego muru, który nas otacza./.../

Lech Nawrocki

Ktoś

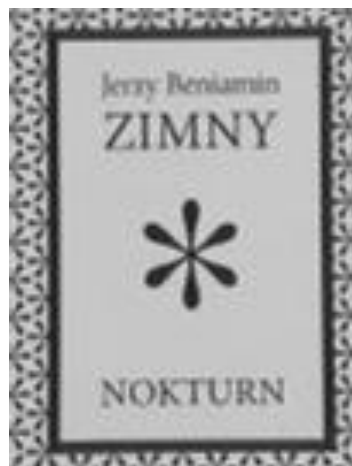
I oto jest. W całej okazałości, jawiąc się sobą na wskroś. Wygląda delirycznie i eksponująco, choć odlegle do ekstrawagancji. Tchnie bezwstydnym, acz wyważonym optymizmem. Promieniuje jednostajnością, eklektycznym nieprzejednaniem i zdeklarowaną nonszalancją. Emanuje żenującą oschłością. Zdaje się być zdystansowanym horyzontem. Zastyga w pozującej, aseptycznej pozie. Jest jakby wyczekiwaniem, lecz bynajmniej żadnym oczekiwaniem. Kto zacz? Skąd mam wiedzieć? Nie mam najmniejszego pojęcia.

Nienachalne piękno

Lubię wiersze, które fermentują – nie są zaschniętym badylem, wysuszoną wiązką kwiatów, z których uszło życie. Lubię wiersze, które gotują się, wrą i wrzą od środka, gotowe wybuchnąć jak gejzer czy wulkaniczna lawa. Lubię wiersze, które pachną pasją, niecierpliwością, emocjami, namiętnością. Lubię wiersze rozdygotane, z rozwianym włosiem, nie mogące usiedzieć na miejscu, ciekawe wszystkiego wokół, które nie rozczulają się nad rozlanym mlekiem. Lubię też wiersze, które mnie inspirują, zaglądają mi w oczy, zadziwiają, bywają wielokształtne – są muzyką i bijącym sercem. Lubię nawet takie wiersze, które wprawiają mnie w zaskopotanie, pytają, dotykają, do których wracam wiele razy, a one czekają na mnie, żeby za każdym razem co innego mi opowiedzieć.

Rozbieżność

Robisz wszystko jak najlepiej, ale tylko tak ci się wydaje. Starsz się, jednak w oczach innych uchodzisz za dalekiego od ich życzeń. Wytykają ci twoje wady i niekonsekwencje, brak liczenia się z otoczeniem, ba, nawet brak szacunku. Jak być sobą? Gdzie granica? Ile odpuścić, zmienić, na jaki pójść kompromis? Poszukać świata, ludzi, którzy będą pasowali do ciebie? Czy ty się przystosujesz? Jak się w tym połapać? Jak jednocześnie uszanować siebie i innych, by nie rozbić się o mur? Bądź grzeczny, bądź grzeczny, jak mantrę, powtarzali ci wciąż rodzice.



Krzysztof Gołębiewski

Lektury wstydlive

Ten tytuł prowokuje skojarzenia dość oczywiste. Książki czytane przy zamkniętych drzwiach, bez potrzeby rozmowy o nich, bez chęci polecenia komukolwiek. Treści, które należą do sfery prywatnej, czasem intymnej, czasem po prostu niewygodnej. Erotyka jest zapewne najbardziej wyrazistym przykładem lektury wstydlivej, lecz mechanizm, który za nią stoi, działa znacznie szerzej i dotyczy o wiele większej części czytelników wyborów.

Każdy czytelnik funkcjonuje bowiem w dwóch porządkach. W jednym czyta dla siebie – intuicyjnie, emocjonalnie, bez planu i bez potrzeby uzasadniania. W drugim czyta publicznie: dla rozmów, dla środowiska, dla potwierdzenia własnej tożsamości kulturowej. Lektury wstydlive rodzą się dokładnie na styku tych dwóch światów. Są książkami czytаныmi prywatnie, ale problematycznymi w przestrzeni społecznej. Ich wstydlivość nie wynika z rzekomej niskiej jakości literackiej. Nie zawsze są przecież złe, prymitywne ani bezwartościowe. Chodzi o to, że nie pasują do obowiązującego modelu dobrego gustu. Do takich książek należą romanse, popularne thrillery, literatura *youngadult*, serie obyczajowe, poradniki psychologiczne, a także książki „na poprawę nastroju” – czytane szybko, bez ambicji analitycznych, często z czystej potrzeby emocjonalnej regulacji.

Dzieje się tu dokładnie to samo, co z muzyką *disco polo* – gatunkiem masowo słuchanym, także przez ludzi inteligentnych, wrażliwych i refleksyjnych, a jednocześnie niemal nieobecny w deklaracjach gustu. Nie dlatego, że słuchacze nie wiedzą, czego słuchają, lecz dlatego, że wiedzą, jak to zostanie ocenione przez otoczenie. Gust staje się tu nie wyrazem przyjemności, lecz narzędziem autoprezentacji. W świecie literatury ten mechanizm działa identycznie.

Erotyka wpisuje się w ten schemat jako jego najbardziej jaskrawa odmiana. To, co erotyczne, od zawsze było czytane w ukryciu – nie tylko z powodów obyczajowych, ale także dlatego, że odsłania potrzeby, których nie chcemy tłumaczyć ani uzasadniać. Jednak ten sam mechanizm dotyczy książek, które wcale nie mają charakteru erotycznego, a mimo to wymagają „czytania po cichu”. Wstyd nie wynika więc z treści seksualnych, lecz z naruszenia pewnej kulturowej hierarchii. Czytanie w takim porządku przestaje być niewinne. Nawet w samotności towarzyszy mu wewnętrzny cenzor: pytanie, czy dana lektura jest „do obrony”, „do przyznania się”, „do polecenia”. W efekcie wielu czytelników prowadzi podwójne życie lekturowe. Jedne książki są czytane oficjalnie, inne – po kryjomu. Jedne trafiają na widoczną półkę, inne zostają w historii czytelnika, w torbie, w nocy.

Paradoksalnie to właśnie te drugie najczęściej spełniają najbardziej podstawowe funkcje: dają ulgę, poczucie bezpieczeństwa, powtarzalność i przewidywalność. Są literackim odpowiednikiem rozmowy bez zobowiązań albo piosenki, która nie jest wybitna, ale działa dokładnie wtedy, gdy jest potrzebna. Odrzucanie takich książek w imię dobrego gustu bywa formą przemocy symbolicznej wobec siebie samego. Lektury wstydlive mówią o czytelniku często więcej niż te starannie dobrane.

Pokazują jego zmęczenie, potrzebę bliskości, chęć ucieczki albo zwykłej przyjemności.

PROTOKÓŁ
kulturalny

Nr 97/2026

Obnażają pięknie między tym, kim jesteśmy prywatnie, a tym, kim chcielibyśmy być publicznie. Pewnie dlatego tak rzadko o nich mówimy.

Być może prawdziwa dojrzałość czytelnika zaczyna się wtedy, gdy przestajemy się z tych wyborów tłumaczyć. Gdy pozwalamy sobie czytać nie tylko to, co podnosi prestiż, ale także to, co po prostu działa – nawet jeśli wymaga zamknięcia drzwi, nawet jeśli absolutnie nie nadaje się do polecenia. Książka przeczytana szczerze, nawet wstydliwie, nie jest porażką kultury, lecz jej świadectwem. Wstyd, który wokół niej narósł, mówi znacznie więcej o naszych społecznych lękach i hierarchiach niż o samej literaturze.

Krystyna Wojciech-Ratajczak

Druga dedykacja Józefowi

Nawet kot przestał miauczeć
Kruk siadł na dachu owczarni
Przed Tobą Świnica, Giewont i Koszysta
Masz teraz dużo czasu
Będiesz naszym Aniołem Stróżem?
Widzę, jak tulisz owieczkę przy piecu
Małą, pamiętasz, którą uratowałeś
Tamtej jemy.

Ewa Szafranek

Nieobecna

nie byłoby mnie
tu i teraz
a jestem
to dzięki niej
żyję oddycham
jestem szczęśliwa
a czasem smutna
mam sukcesy w życiu
porażki też
świat zwiedzam
czuję się bezpieczna
każdy moment mego życia
i choć jej nie ma
to dalej czuję jej
dobro opiekę miłość

Zygmunt Dekiert

Zagubienie

Dokąd podążasz wędrowcze?
Mapa słońcem poblądła
Kompas bez igły
Niebo bez gwiazd
Buty do bólu stóp zdarte
W dłoniach róża wiatrów
- bezwonna

Elżbieta Juszczak

Dziedzictwo

Architektoniczne znaki

Można się zastanawiać, jak duży wpływ ma miejsce narodzin na życie człowieka. Wiadomo, że podstawowy, szczególnie w przypadku pisarza, a opisy dworców, kamienic, izb i przestrzeni w których przyszło się narodzić są nader liczne w literaturze – szczególnie polskiej, ale nie tylko. Tak więc ja urodzona wiele lat po wojnie w niemieckiej kamienicy dziedzicząc tę niemiecką tradycję, tu na „ziemiach odzyskanych”, zwanych później ziemiami wcielonymi. Dziedzicząc tę tradycję, jest ona moja i niezbywalna w mojej pamięci, wyobraźni i odczuciach. Dziedzicząc układ drzew, plan parku, plan miasta. Dziedzicząc zapach komód, toaletek, szaf, zapewne niemieckich. Mało tego, kocham je i uważam za swoje. Oto słoneczne polskie miasto z niemiecką historią, gdzie przyjazna jest każda rysa na murze, każdy szpaler drzew. Tak to wygląda, nieco nostalgicznie, ale zrozumiałe, bo chodzi o dzieciństwo.

Po wielu latach przyszły wyjazdy w głąb kraju, na południe i na wschód. Jakież było moje młodzieńcze zdziwienie. Jakże wszystko było inne. Ten sam język, ta sama kultura, ale poczucie raczej zdziwienia niż obcości, nie opuszczało mnie. Barokowe, kipiące od nadmiaru kościoły, przysadziste szerokie dworce, klasycystyczne wielkie pałace – budowle, cmentarne lub parkowe murowane ogrodzenia, parki zamykane na noc – to był w zasadzie inny świat. To nie był świat gotyckich i neogotyckich kościołów, wysokich secesyjnych kamienic, jasno wytyczonych ulic – promieniście lub w szachownicę. Ciągłe, gdzieś z boku czyhał na mnie i wyskakiwał duch Wielkiego Księcia Konstantego w Warszawie, duch Habsburgów w Krakowie. Inna rzecz, że jakież niespodzianki szykowały owe miasta, jakież cuda i widoki. Wszystko było fascynujące, cudowne, nowe i obiecujące. A jednak z przyjemnością wracałam do mojej nadmorskiej krainy – bardzo prowincjonalnej, rolniczej i prawie pozbawionej przemysłu, z bagnami, z ogromną ilością lasów i łąk, z niewielkimi portami.

Tutaj dworce kolejowe były solidne, wysokie i smukłe, stacje transformatorowe eleganckie, wszystkie jednakowo szare i wyprostowane w żołnierskim szyku. Gospodarstwa na wsiach – obszerne, szerokie, z murowanymi domami mieszkalnymi i ceglanymi czerwonymi obejściami. Prusy – junkierskie dziedzictwo.

Pałaców było niewiele, jako tako zaopatrzone w czasach pegeerów, później pozostawione na pastwę losu. Wcześniej jednak, w czasach wojny lub zaraz po niej, wysadzone w powietrze przez czerwonoarmistów lub polską administrację. Polonizacja tych ziem miewała różne oblicza – z wielką gorliwością tępiło niemieckie ślady i nie szanowano kulturowego niemieckiego dziedzictwa. Biedne ziemie – pozyskane i wyzyskane, nie licząc pewnych wysiłków industrializacji Ministerstwa Ziem Odzyskanych. Gomułka – o, to był cały cyrk – z hasłem „Byliśmy, jesteście, będziemy” i historią jedynie piastowską. Byłoby to nawet zabawne,

gdyby nie skuteczne. W świadomości uczniów wymazano cały okres niemieckości tych ziem, w zamian za to faszerując ich przedziwnym nacjonalizmem – jakąś mieszańką Piasta-Kołodzieja i wszechmocą Peerelu. Później, a nawet dzisiaj, też nie jest najlepiej. Zamiast z pietyzmem rekonstruować przedwojenne zabytki, pozwala się, by niszczały z całym okrucieństwem, ocalając nieliczne. To samo zresztą dotyczy, a to zależy od świadomości samorządowców, polskiego powojennego modernizmu. Mnie może najbardziej żal, jako że region nadmorski, szczególnej architektury nadmorskiej. Gdzie szukać jej perełek? – najlepiej w Sopocie – tam chyba jest najlepiej – pozostała część pasa nadmorskiego Bałtyku budzi zażenowanie. Wszechobecne budy, pokraczne i plastikowe doczepione do ulic byle jak, byle gdzie, tylko dla zysku ich właścicieli.

Chcecie zobaczyć jak być powinno? – jedźcie do Ahlbeck i Heringsdorfu, czyli od Świnoujścia na zachód. Znajdziecie tam odrestaurowane mola i tę wspaniałą atmosferę letniego kurortu, gdzie przeszłość łączy się z teraźniejszością, w której spokój mieszkańcy i letnicy zawdzięczają zieleni i wyłączeniu samochodów z ruchu. I oczywiście rezydencjom niemieckiej arystokracji – bo skoro bywali tu cesarze Niemiec i cesarz Austro-Węgier – powstawały obowiązkowo. Prospekt reklamowy mówi, że wypoczywali tu pisarze, m.in. Tomasz Mann.

Niemieckie cmentarze – to osobny temat. Wiele z ich nagrobnych płyt stanowi dziś ulice i jezdnie pomorskich miasteczek. Traktowane z bezwzględny okrucieństwem po wojnie i wiele lat później, po osiemdziesiątym dziewiątym roku doczekały się z polskiej strony upamiętnienia. Zbięrano płyty, macewy, ogrodzenia. Niejednokrotnie częściowo zostały odtworzone i otoczone opieką przez wolontariuszy. Ich ewangelicka przeszłość została szczątkowo ocalona. Polski poeta Janusz Gryz peregrynujący po swojej małej ojczyźnie tak o nich napisał:

Plaskie gruzowisko kamiennych bloków z wyszczerbionymi kikutami krzyży. Zapomniane ostęp przeszłości wysklepiony suchymi gałęziami prowadzi ku wzniesieniu, na którym bezmierne pola bitew pierwszej wojny tłoczą się na zielonym granicie pomnika. Wiodą do niego schodki zarośnięte trawą, unieruchomione spływającą z deszczem ziemią. Kanciaste, gotyckie nazwy przywołują mapę Europy. Laz. Graudenz, Rumänien, Belgien, Frankr., Serbien, Russl., Laz. Hamburg, Laz. Malmö. Brakuje tu Polen, ale Polen odrodziła się dopiero po tej wojnie. Obok strącony orzeł rozpóściera potrzaskane skrzydła. Ostre szpony wpięte w kamień spazmem rozpaczy. Widzę w nich splecione ręce pruskiego chłopca, czyste, krótko obcięte paznokcie wbite w pobielalą skórę. Gewidmet den im Weltkrieg Gefallenen. I zawsze odwołanie do Biblii w poszukiwaniu ratunku przed okropnościami historii.

Gdy Gryz opublikował krótki tekst *Friedhof w Gorzycy*, na Pomorzu trwał już festiwal przypomnień. Lokalna gazeta „Głos Koszaliński” co tydzień publikowała dziesiątki pocztówek regionu z czasów niemieckich. Odgadywano dawne miejsca, które dzisiaj wyglądają zupełnie inaczej. Szukano śladów przeszłości. Wydawano kalendarze, zbiory pocztówek, albumy. W najlepsze trwał festiwal tożsamości materialnej, jak gdyby za wszelką cenę i z ogromną intensywnością chciano zapełnić wyrwę w świadomości, jaką uczyniła polityka Gomułki

i Peerelu w ogóle. Nagle to co dawne wydało się ukochane, lepsze, bo nostalgiczne. Jak w filmie Woody Allena z 2011 r. „O północy w Paryżu”. Każde miasto, miasteczko i wieś odkrywało swoją wcześniej ukrytą tożsamość. Pocztówki, filmy publikowano w Internecie, tam też ustalano daty, miejsca, nazwy ulic. Towarzyszyła temu walka o znaki przestrzenne pozostałe po komunizmie. Przenoszono pomniki, czasami usuwano je w ogóle. Jeżeli przypomnieć zmianę nazw ulic, można przyznać, że trwało coś w rodzaju powierzchownej rewolucji, powierzchownej, bo emocjonalnej, najczęściej nie popartej gruntowną wiedzą (jak np. w przypadku usunięcia nazwy ulicy Karola Marksa).

Kilka lat temu mieszkałam w odległej od centrum dzielnicy Berlina. Z okna widziałam prawie to samo, co z mojego bloku na Pomorzu. Niewielki skromny domek z ogródkiem z czerwonym spadzistym daszkiem. Dokładnie taki sam, według tego samego projektu jak ten, który widziałam z mojego okna. Że w Berlinie leżał przy niewielkiej i spokojnej uliczce, a ten w Koszalinie przy jednej z największych arterii miasta, co całkowicie zmieniało jego charakter – to inna sprawa. Zresztą to samo wrażenie miałam podróżując z Międzyzdrojów do Ahlbeck. Niby wszystko takie same, a jednak inne. Dla nas mieszkańców Pomorza Berlin jest swojski – podobne domy z dużymi balkonami wciętymi w bryłę, te same girlandy i maszkarony na elewacjach. Wsie i obrzeża miast w Polsce to już odmienna rzeczywistość. Nie wspominam tu o elementarnym ładzie architektonicznym, którego u nas nie ma. Chodzi raczej o to, że niezależnie od tradycji szachulcowej regionu, pełno tu dworców lub pseudodworców wyjętych prosto z wyobrażeń o Soplicowie.

Bogna Wiczyńska

Gwizdacze

– Mamusiu, skąd wzięły się chmury?
– Chmury dziecko wzięły się z tego że nie chciałeś pić i swoim mlekiem musiałam wykarmić niebo.

–Mamusiu, co to są gwizdacze?
– To te cienie spod poduszki rzeźbiące w ścianie słono Ciebie i Mnie dwa dzikie wilki

– Cierpisz Mamusiu?
– Bardzo
– Mamusiu mogę się ożenić z tobą?

Arkadiusz Aulich

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 97/2026

Bunt wyrażany poprzez sztukę

Jaźń niech będzie twoją latarnią / Jaźń niech będzie twoim przewodnikiem

[...]

Ostrzegając przed radiami / Które pojawiają się / Pewnego dnia / I zmuszą ludzi / Do słuchania automatycznych/ słów innych...

Jack Kerouac

Człowiek bunt ma w naturze. W każdej epoce była jakaś jednostka lub grupa rebeliantów walczących ze skostniałym systemem. Można stwierdzić, że obie strony wzajemnie się uzupełniają. Nie byłoby buntu bez kajdan ograniczających wolność, i nie byłoby kajdan, gdyby ludzie się nie buntowali.

Jednym z narzędzi do walki z amerykańskim systemem była muzyka. Oczywiście nie tylko, także kinematografia, literatura, poezja, malarstwo, sztuki innowacyjne, jak performance – twórczość Yoko Ono, pop - art – twórczość Andy Warhola, i inne artystyczne formy. Mógłbym wymienić tak w nieskończoność, ale chcę skupić się w tym momencie na samej muzyce, która była najistotniejszym sprzymierzeńcem i „motorem napędowym” dla kontrkultury w tamtym okresie.

Muzyka tamtych lat była jak automatyczny karabin, wypełniona buntem, gniewem skierowanymi w kierunku establishmentu. Teksty utworów były nasycone ponadczasowymi hasłami: *Make love not war, Get the hell out of Vietnam, Give peace a chance. Flower power.*

Zaczęto tworzyć wielkie festiwale muzyczne. Jednym z największych i zarazem najważniejszych był festiwal w Monterey w Kalifornii. Wydarzenie odbyło się w dniach 16 – 17 czerwca 1967 roku. Festiwal zgromadził aż 200 tysięcy młodzieży i był zapowiedzią Woodstock. Przeszedł do historii z powodu oszałamiającego występu Hendrixa oraz Joplin. Miał też swoją drugą stronę medalu. Mianowicie organizatorzy mieli problem z porozumieniem się w kwestii finansowej. Zaznaczę, że wejście na festiwal było zupełnie darmowe. Prawdopodobnie spór dotyczył pieniędzy od sponsorów na samą organizację wydarzenia. Podobno dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach, a tym bardziej rebelianci. Jak widać człowiek jednak bywa istotą niedoskonałą, wówczas dążącą do doskonałości.

Festiwal w Monterey miał za zadanie zjednoczyć młode społeczeństwo amerykańskie i uświadomić mu istotę wolności. Pogrzebać konserwatywny, oschły system i otworzyć „drzwi do percepcji” do nowego wymiaru. Był manifestem młodych ludzi. Z pewnością po części spełnił swoją rolę.

Festiwal w Woodstock, który odbył się 15 – 18 sierpnia 1969 roku na farmie Maxa Yasgura w miejscowości Bethel, miał wymiar głównie muzyczny. Wydarzenie to skupiło aż 400 tysięcy młodzieży i było już schyłkiem kontrkultury. Osobiście nazwałbym to podsumowaniem lat sześćdziesiątych. Najdobitniej widać to w momencie, gdy Hendrix odgrywa hymn Stanów Zjednoczonych przy prawie opustoszałej widowni, a po zadeptanym polu fruwa pełno śmieci.

Krzysztof Grzechowiak

Nie szargać Baczyńskiego...

Z szuflady Krzysztofa Grzechowiaka

Na łamach „Gazety Wyborczej” (z 27.01.2021) ukazał się elaborat Krzysztofa Siwczyka, poety, eseisty, aktora i urzędnika Instytutu Mikołowskiego im. Rafała Wojaczka, zatytułowany – „Czy warto było umierać?”, o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim. Okazją było 100-lecie narodzin poety. Redakcja pod tytułem artykułu wyeksponowała jedną ze „złotych myśli” K. Siwczyka. Oto ona: „Baczyńskiemu, z którego poezji najlepiej bronią się dziś erotyki, jesteście winni nie czołobitną pamięć, tylko ponowną lekturę. Zwłaszcza że w obecnym klimacie kulturkampfu może go czekać los Zbigniewa Herberta, <<przejętego>> przez prawicę”. Właściwie tylko to, że poezję K.K. Baczyńskiego czytać warto i trzeba, z tego zdania, byłoby do zaakceptowania. Bo że z tej twórczości pozostały tylko erotyki, to zapewne odkrycie samego K. Siwczyka, którego nie podziela liczne grono badaczy, poczynając od K. Wyki przez J. Błońskiego, J. Kwiatkowskiego do St. Stabro, a nawiązanie do Kulturkampfu jest co najmniej niejasne, jako że była to walka z Kościołem i religią. Czy ci którzy dzisiaj tak czynią, to duchowi następcy Bismarcka? Nie udało się ta aluzja K. Siwczykowi, stając się przeciwieństwem jego zamiarów. Jak to dawniej mówiono, strzelił sam sobie w stopę.

Zastanawia u autora tego szkicu, w końcu poety, pewne niechlujstwo dotyczące języka i faktów. Cóż to bowiem za sformułowanie: „heroicznym szpanem”. Czy w czasach okupacji, niemieckiego terroru, Baczyński, ale i poeci SiN-u, Gajcy, Trzebiński, Bojarski, Stroński, „szpanowali” działając w ruchu podziemnym, studiując na tajnych kompletach, kończąc podchorążówkę, biorąc udział w akcjach zbrojnych. Czy to, że nie pozostali bierni i nie poddali się losowi niewolników można uznać za „szpan”. Nie znali takiego słowa. I dalej pisze K. Siwczyk: „Baczyński, świadomy swojego talentu, ewidentnie <<przestrzelił>> z heroizmem[...]”. K. Siwczyk zapewne w wojsku nie służył, obca mu jest wiedza na temat dyscypliny wojskowej. Baczyński był zaprzysiężonym żołnierzem Armii Krajowej. Znał swoje zadania, powstanie zaskoczyło go w innej dzielnicy, ale dołączył do oddziałów tam występujących, nie zdezerterował do cywila.

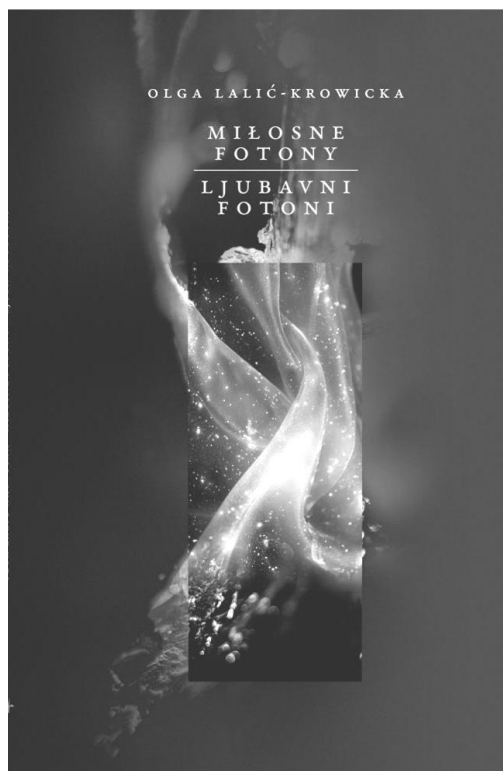
Odbiegając trochę od tematu głównego artykułu, K. Siwczyk wspomina o pokoleniu Kolumbów, wymieniając też przy okazji T. Różewicza, i tu zgoda, J. Hartwig – raczej młodszą siostrę choć metrykalnie przynależną i J. Hena z Kolumbami nie kojarzonego, pisarza dobrego, ale co do „krynicy mądrości” – z której czytelnicy mogą czerpać – to już wątpliwe. Wystarczy czytać jego dzienniki „Nie boję się bezsensownych nocy” i ich kontynuacje, żeby napotykać się na wiele fobii i uprzedzeń antypolskich, a czasem niemądrych zapisków jak ta próbka z „Ja, Deprawator”: „Kiedy Doktor (Maciej Stuhr) perorował przeciw wycinaniu lasów, przeciw niszczeniu środowiska, w którym żyją zwierzęta, widownia słuchała tego tak jakby Czechow [sic!]

zwracał się do obecnego ministra środowiska”. M. Stuhr – Czechowem naszych czasów. Trzeba ilościowo opuścić kurtynę na tym porównaniu.

Nie byłby K. Siwczyk sobą, gdyby ciągle nie aktualizował, pisząc o K.K. Baczyńskim; o Kulturkampfie już było i obecnym klimacie, dalej udowadnia, że życiorys poety nie bardzo nadaje się na sztandary Marszu Niepodległości. Ale czy K.K. Baczyński nie walczył o utraconą niepodległość słowem i karabinem. Kończąc ten wątek przypisuje słowa St. Pignonia o strzelaniu brylantami – K. Wyce, które ten zresztą cytuje w swoim wstępie do „Utworów wybranych” K.K. Baczyńskiego (WL Kraków 1964, str. 41). Słyszał K. Siwczyk, że w którymś kościele dzwonili, nie pamięta już jednak w którym. Czym, jeśli nie pośpiechem, owym przebieraniem nogami żeby już, natychmiast, bo na zamówienie ta praca, nie z serca pisana, tłumaczyć pomyłki takie jak zamiana imienia Gustawa Herlinga-Grudzińskiego na Edwarda?

Co rusz u K. Siwczyka pojawiają się sformułowania, jakby używane w potocznej mowie wśród blokowisk, jak choćby „nowoczesny sznyt strof”[sic!]. Ale to autor tomiku wierszy „Dziki dzieci”. Tymczasem czując, że to „przetransformowanie do popkultury” deprecjonuje jego pisanie, zaczyna dla odmiany sygnalizować, że i strefa wysoka kultury nie jest mu obca. Słyszał o fantazmacie M. Janion, błysnie sformułowaniem „tabuizują ciało”, ale czy rzeczywiście dla K.K. Baczyńskiego ciało to było tabu. Cały wywód K. Siwczyka opatrzyć można sporym znakiem zapytania.

Na koniec w ramach aktualizowania K. Siwczyk jak trener jakiegoś lewicowego klubu radośnie dodaje: „Jako że ławka rezerwowa autorytetów świata kultury po prawicy jest krótka, przeto spodziewać się można, że Baczyński może tej opcji spasować” [sic!], załączając powątpiewanie czy poeta umarł (zginął –KG) w słusznej sprawie. Nie, nie ma w tym wypadku wątpliwości. Zginął za Polskę.



Człowiek w poszukiwaniu sensu

Równo osiemdziesiąt lat temu, rok po zakończeniu drugiej wojny światowej, ukazało się w Wiedniu pierwsze wydanie „Człowieka w poszukiwaniu sensu” Wiktora Emila Frankla – jednej z najbardziej wpływowych książek w dziejach psychologii. Nieprzypadkowo publikacja ta miała jak dotąd ponad siedemdziesiąt edycji w wielu językach świata, a ogromna większość jej czytelników to, pomijając specjalistów, tak zwani zwyczajni ludzie...

Czy moje życie ma jakiś sens? Takie pytanie poważnie zadają sobie ci, których własna autorefleksyjność skłania do wnikania w najgłębsze warstwy ludzkiej egzystencji. Nie zawsze chodzi o odnalezienie sensu obiektywnego, czyli ponadjednostkowego celu istnienia, niezwykle ważne są również sensy subiektywne, indywidualne. Frankl, który przeżył doświadczenie Auschwitz i Dachau, jako lekarz, filozof i twórca koncepcji logoterapii (trzeciego nurtu psychoterapii, obok szkół Freuda i Adlera) podkreślał dobitnie, że wiele ludzkich problemów, obaw, niepokojów i lęków ma swoją najpierwotniejszą genezę w poczuciu braku sensu życia. Sięgając do własnych wspomnień z niemieckich obozów zagłady, w których więźniów odatło z resztek człowieczeństwa, wiedeński psychiatra żydowskiego pochodzenia podjął w swojej książce wnikliwą refleksję o ludzkiej naturze. „Człowiek w poszukiwaniu sensu” to przecież nie tylko osobista relacja z wydarzeń, które rozgrywały się za bramą z napisem Arbeit macht frei, uniwersalnej głębi dodały bowiem tej relacji elementy subtelnej analizy psychologicznej. Powstał wyjątkowy, wielowarstwowy esej, pozwalający czytelnikowi nie tylko mierzyć się z odczuciami, jakie wywołują w nim wstrząsające opisy obozowej przemocy, ale przede wszystkim zrozumieć fundamentalną potrzebę natury człowieka. Potrzebę poszukiwania i odnajdywania sensu własnego istnienia.

Jako więzień Auschwitz i Dachau Frankl doświadczył osobiście, że życie ma sens nawet w największym cierpieniu i, chociaż z pozoru fakt ten może wydawać się czymś nieprawdopodobnym, to w istocie od zarania dziejów stanowi integralny wątek ludzkiej egzystencji, co więcej, ma niezwykle moc odślaniania jej głębi. Długo nosząc na sobie obozowy pasiak, twórca logoterapii mógł zaobserwować, że pomimo nieustającego doświadczania cierpienia przez strauumatyzowanych współwięźniów, tym co pozwalało im psychicznie przetrwać, pozostawała nadzieja związana z wytyczeniem konkretnych celów do zrealizowania po uwolnieniu z obozu, już w okresie powojennego pokoju. Na przykład wizualizowanie sytuacji powrotu do domu, spotkania z bliskimi, zjedzenia (nareszcie) normalnego posiłku itp. Ci więc, którzy potrafili żyć perspektywą przyszłości, a nie dominantą „tu i teraz”, o wiele lepiej radzili sobie z cierpieniem generowanym przez obozowe życie i związane z nim ekstremalne warunki uwłaczające ludzkiej godności. Frankl wspomina np. sytuacje, w jakich więźniowie – wbrew kosztownej atmosferze obozu i dosłownie wszechobecnemu tam odorowi śmierci – potrafili opowiadać sobie humorystyczne historie,

anegdoty, dowcipy, które pozwalały im nabrać dystansu do otaczającej ich rzeczywistości i przetrwać najgorsze chwile.

Autor „Człowieka w poszukiwaniu sensu” przejmująco napisał o sobie jako więźniu: „Byłem ciekaw, czy przeżyję, a jeśli tak, to czy wyjdę z tego z pękniętą czaszką, czy z innymi urazami”. Frankl zastanawiał się wówczas nad tym, ile zdolny jest znieść człowiek w sytuacji granicznej, jaka jest jego psychoemocjonalna, a nawet duchowa wydolność, jaki wachlarz reakcji obronnych zdolny jest on uruchomić, poczynając od humoru poprzez nabity brak wrażliwości i apatię aż do daleko posuniętej prymitywizacji życia wewnętrznego. Najważniejszym jednak i najskuteczniejszym mechanizmem obronnym, jaki przekonująco wyeksponował Frankl, była świadomość, że nawet w najtragiczniejszych okolicznościach człowiek posiada wolność wyboru, której nikt i nic nie jest w stanie go pozbawić. To właśnie dzięki niej może on zachować godność i to właśnie ona sprawia, że może nadać swojemu życiu sens oraz wartość wbrew wszystkiemu, co dyktuje rzeczywistość zewnętrzna, bo przecież „egzystencja nie jest kompletna bez cierpienia i śmierci”.

To człowiek w swojej wewnętrznej wolności i do ostatniej chwili swojego istnienia w świecie doczesnym, choćby nawet przyszło mu żyć w najbardziej ekstremalnych warunkach, może wciąż dokonywać wyborów i podejmować decyzje zgodne z własnym sumieniem oraz systemem wartości. Można przytoczyć tu – niejako na dodatkowy dowód prawdziwości franklowskiego przekonania – decyzję o oddaniu życia za współwięźnia podjętą przez Maksymiliana Kolbego, decyzję podobną w gruncie rzeczy do etycznego wyboru więźniów Auschwitz wspomnianych przez Frankla, którzy głodnym towarzyszom niedoli oddawali swój ostatni kawałek chleba. W książce wiedeńskiego psychiatry odnajdujemy nawet tezę, że „stan psychiczny więźnia był w ostatecznym rozrachunku wynikiem świadomości podjętej decyzji”. Jako lekarz, a zarazem wnikliwy obserwator ludzkiej natury był on przecież pewien, że warunkiem przezwyciężenia choćby najtrudniejszej rzeczywistości jest posiadanie celu, spoglądanie przed siebie oraz wiara w przyszłość. Tak przeżywana nadzieja ma bowiem bardzo istotny wpływ na psychoemocjonalną odporność ludzkiego organizmu, od bólu fizycznego przez podatność na infekcje aż do zachowania albo też utraty zdrowia psychicznego.

Zachowując taką właśnie nadzieję, wielu więźniów obozów koncentracyjnych zachowało własne życie. Frankl podsumowuje ten wątek sentencją Nietzschego: Ten, kto wie, dlaczego żyje, nie troszczy się o to, jak żyje. Warto w tym miejscu zaakcentować, że dla autora „Człowieka w poszukiwaniu sensu” niezwykle wartościowe i budujące wewnętrznie było wyobrażanie sobie rozmów z żoną Tilly, która jako Żydówka w tym samym czasie przechodziła przez piekło obozów zagłady. Głęboka świadomość, że miłość jest najwyższym i najwartościowszym celem, do jakiego może dążyć człowiek, oddziaływała więc na Frankla jako więźnia w sposób nadzwyczajnie uwalniający, a było to, co więcej, oddziaływanie pozbawione elementu fizycznej obecności ukochanej osoby. Wystarczało subtelne, uwewnętrznione, kontemplacyjne tej obecności poczucie.

Radosław Grzegorzczak

Wiersz

Życzę wszystkim zwierzętom i drzewom
Rybam i stawonogom by były zbawione
Dlaczego raju mają być pozbawione?
Bo nie znają Boga?
A ty znasz?

Czy niebo jest sterylne bez bakterii
i wirusów?

Bez grzybów i psich odchodów?
Dlaczego tam ma mi być lepiej bez mego kota –

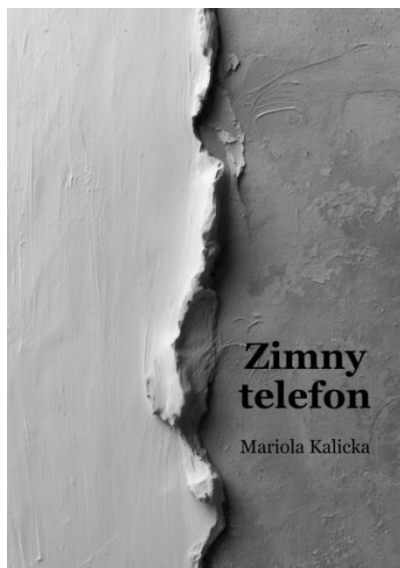
Tych jego oczu niepotrafiących czytać liter
A umiających czytać w myślach

Rozum zwierzęcy jest ograniczony!
Rozum człowieka jest nieograniczony
I czyni sobie ziemię poddaną!
I wszelkie stworzenie sobie posłuszne...
Człowiek został stworzony na podobieństwo Boga

Bo przecież nie krokodyl...

Czy wyobrażasz sobie Boga jak mówi do
twojego psa:
Azor nie wchodzi za panem do raju. Zostań!
Zostań tu w ziemi...
Waruj...
Chciałbyś takiego Boga co wyklucza
słabszego?

Więc myślę że i niebo pełne jest końskiego
smrodu
Wszelakich chorób na które musi chorować i
sam Najwyższy...
Dobrotliwie znoszący mrówki w kuchni



Paweł M. Wiśniewski

Widok z okna

Życie przelatuje nam przez palce i niczym piasek przesypujący się po krawędziach klepsydry, pozostawia odciski obecności. Mimo to są one niezauważalne, niczym anonimowi goście przesiadują w naszych domach, oczekując aprobaty ze strony gospodarza. Są jak wybitne jednostki wymagające poklasku, wyznaczające postęp cywilizacji. Ale są także okrucami dnia, zapomnianymi w natłoku wydarzeń, rozmontowanymi i wyizolowanymi gdzieś w odmetach szaf, kufrów i tapczanów.

Do kolekcjonerów takich okruców zalicza się z pewnością Katarina Kucbelová (ur. 1978) – słowacka poetka i prozaiczka, autorka powieści reporterskiej Czepiec. Kucbelová niejako „wyszywa” opowiadaną historię, która, podobna do wielobarwnej nici, zawiera feerię barw ludzkich przeżyć rozgrywanych na przełomie wieków. Jest także wybitnym opisem dawnej kultury, nieco już zapomnianej, lecz ze wszech miar kultywowanej i przekazywanej z pokolenia na pokolenie.

Bohaterowie powieści reporterskiej pochodzą z niewielkich wiosek byłej Czechosłowacji a obecnej Słowacji i migrują po tamtejszym obszarze w poszukiwaniu lepszego jutra, jutra, które nigdy nie nastąpi lub przyjdzie z opóźnieniem, gdy wszyscy już wyjadą „Niemal zawsze w kierunku zachodnim.” Ratunkiem dla zapomnianych jest folklor – pozostałość po przodkach – rozwijany i utrwalany pomimo zmian politycznych, geograficznych i społecznych.

Nieodrodnym elementem niniejszego folkloru jest tytułowy czepiec – element kobiecego stroju, nieodparcie kojarzony z minioną epoką, a jednak wciąż będący „w modzie”. Czepiec nie jest jedynie produktem starszej generacji, lecz na nowo odkryty służy propagowaniu tradycji i wzmacnianiu międzyludzkich więzi.

Przy ocenie treści powieści Czepiec nie można zapominać o jej wyjątkowości. Polega ona przede wszystkim na nietuzinkowym języku, współgrającym z opisywanym światem. Jesteśmy uczestnikami życia codziennego mieszkańców słowackiej wsi, wędrujemy wraz z nimi; do kościoła, do jedyne sklepu, podróżując wysłużonym autobusem i wsłuchując się w toczące tam rozmowy. Jesteśmy również świadkami zawierania małżeństw, gdzie to mężczyzna ma decydujące zdanie: „wybrał ją sobie chłopiec z bogatszego gospodarstwa, z lepszego domu”, nie podlegające dyskusji. Wszystko to łączy nas w jeden scalony konglomerat otoczony ciepłym warkoczem wzajemnej tolerancji.

Katarina Kucbelová przynosi nam niezwykle obraz, który niczym witraż, fascynuje wieloznaczenością kolorów i symboli. Odkrywając wciąż niezwykłość opisywanego świata jesteśmy wyczerpani na jego piękno i prostotę a zarazem niezwykłą różnorodność. Widok z okna naszego domu ukazuje spokojny krajobraz sielskiej przyrody toczącej nierówną walkę z cywilizacją, coraz mocniej ingerującą w dziewiczy krąg.

Katarina Kucbelová – „Czepiec”, tłum. Katarzyna Dudzic-Grabińska, Wydawnictwo Ha!Art, Kraków 2022.

Stanisław Świniarski
Debiut

Herezja poetycka

Nie rozumiem
Koncepcji wiersza wolnego
Mówię to jako autor

Nie rozumiem
Jak kilka niepowiązanych zupełnie wersów
Różnych od siebie
Bez interpunkcji
Bez jakiegokolwiek rytmu
O rymach nie wspominając
Może stać się poezją
Z gatunku tych wybitnych

Nie rozumiem
Może siła tkwi nie w tekście
Zwykle zresztą marnym
Nie w podpitym albo tak po ludzku
Zmęczonym życiem autorze
A w czytelniku

W jego rozumieniu
W jego doświadczeniach
Przeżyciach
Świadomości artystycznej
A może tak zwyczajnie po ludzku
Zmęczeniu życiem

Może
Rozumuję
Miarą dobrego wiersza wolnego
Nie jest wcale jego jakość
Zapewne zresztą marna
A wręcz przeciwnie

Dająca się wszędzie dopasować
Nijakość
Ta krótka a jakże treściwa
Definicja społeczeństwa i świata

Wyzutych z duszy
Poczucia celu i sprawczości
Za to kochających bezkształtność
Zwyczajnie i mimo wszystko po ludzku
Zmęczonych życiem
I prawie na pewno podpitych

Stanisław Szwarc

Egzaminy

Na wszystkie klasówki przygotowany.
Na egzaminy już tylko niektóre.
Na ślub wyłącznie w smarkatej wyobraźni.
Na dzieci zawsze poniewczasie.
Na ten ostatni pewnie nigdy.
Podobnie jak na pierwszy.

Wspominała mama, że strasznie
wrzeszczałem.

Olga Lalić-Krowicka

* * *

Piszę do swojego wiersza
Wierszu mój, czy powstaniesz?
Skoro piszesz, to powstanę.
A o czym będziesz wierszu?
O powstawaniu przecież!

Nenad Šaponja

Kostka

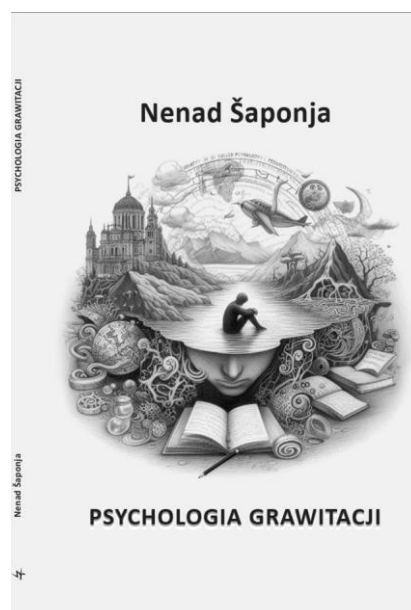
Opowiem ci historię
w którą nie uwierzysz,
bo nie będziesz w niej marzyć.
Otworzę ci drzwi
poza twoim spojrzeniem,
pośród uśmiechu
do świata którego nie ma.

Zakupię ci przestrzeń
ze względu na problem
urodzonego pomyłkowo,
w wyobraźni,
w pewności upadku.

Powiążę nieobecne
z tym czym jesteś
bezpieczna
w nadziei obrazu.

Rozminuję niepewność
którą się bronisz
przed uderzeniem zła.

Tłum. Olga Lalić-Krowicka



Celina Lesiewicz

Impresja

Wychodzisz od jakiegoś punktu
Rozpoczynasz z wiedzą mniejszą większą
Zawsze świadomą
Największym sukcesem jest
By po zagłębieniu
Dojść do momentu pierwszego
Przed istotnym zachłyśnięciem
By odkryć że to co było początkiem
Było najwłaściwsze
To jest ta prostota
O której piszą filozofowie
Na przykład taki Kołakowski
Rzeczywistość jaką dawno czuli i znali ludzie
Którzy nie przeczytali ani jednej książki
Ale uważnie słuchali
Precyzyjnych kazań w kościele

Krystyna Drewnicka

Definicja

Śmieje się –
to sposób komunikacji,
który wzbudza sympatię.
Śmieje się –
nagromadził złe emocje
i warto je rozładować.
Śmieje się –
boi się świata
– trzeba pozbyć się stresu.
Śmieje się –
już dotleniony,
będzie zdrowy i pełen energii.
Śmieje się –
wydaje określone dźwięki,
gdyż – według definicji –
podobno jest mu wesoło.

Aleksandra Pawlisz-Jabłońska

Fakty

Strzępy dnia
rozświetlone życiem codziennym
cicho i niepostrzeżenie
coraz bliżej
w zasięgu wyczucia
zjawia się
śmiech dziecka
zapach bzu
przyjazne serca
otulają mnie
a jednak stoję się niedostępna.

Filip Ogiński

Debiut

Kalejdoskop

gdzie ostatni raz widziałem
Ciebie

która jesteś
drogą do raju
gasisz mrok

wyjdź i pokaż wyjście
z labiryntu ludzkich kłamstw
stań się ostoją

sponiewierany przez ludzi
zapomniany przez Boga
może kiedyś mnie pokochasz?

nadzieja mi usycha

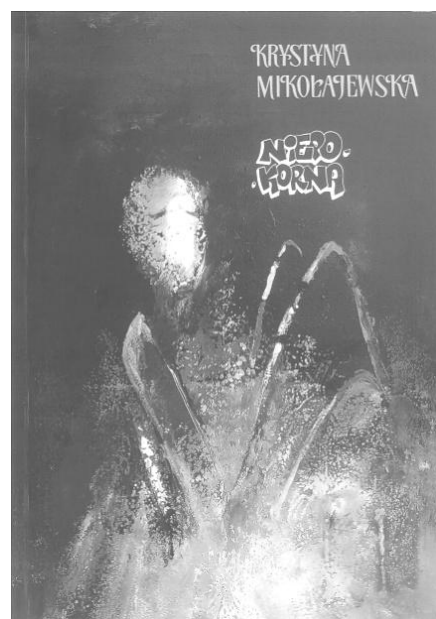
Krystyna Mikołajewska

Dojrzałość

na dłoni pojawiła się
brunatna plamka
jak pierwsza gwiazda

niestety nieoczekiwana
w radosnym napięciu
gdyż zapowiada
całą ich plejadę

sprofanują skórę
wypalą znamiona
zmarszczą jak korę
starego drzewa



U malarza - poety

9 kwietnia 2026 r. jedziemy z Jerzym Grubińskim do Soboty na spotkanie z Norbertem Skupniewiczem. Wizytę planowaliśmy od dawna, teraz się spełnia. Dla Jerzego to kolejna okazja do zobaczenia się z przyjacielem. Dla mnie – niewiedoma, gdyż nie znam Norberta Skupniewicza. Jak się okazało, Artysta od razu zmniejszył między nami dystans, co mnie niezmiernie ucieszyło.

Norbertt przywitał nas bardzo serdecznie. Zaprosił do pracowni, przygotował zamówione kawiarniane napoje. Mieliśmy trochę czasu, aby podziwiać zbiory Gospodarza. Od razu poczułem się swojsko wśród tak mi bliskich dalekowschodnich artefaktów. Podziwiałem z Jerzym posążki Buddów, szczególnie tysiącramiennego Awalokiteśwarę, Ganeśę, piękne wazy, ceramikę, obrazy, stare fotografie, a także bonsai. Rzadko kiedy można oglądać tak bogatą kolekcję w prywatnych rękach.

Norbertt Skupniewicz (ur. 1937 r.), ceniony artysta malarz, rysownik, pedagog akademicki, poeta, jeden z najważniejszych przedstawicieli „nowej figuracji”, od lat mieszka w podpoznańskiej Sobocie. Tu, na parterze klasycystycznego dworu, ma też swoją pracownię malarską, a obecnie bardziej poetycką siedzibę.

Jerzy przywiózł swój nowy tom poezji „Epiki towarzyskie i kilka wierszy osobistych”, który przekazał z dedykacją. Odczytał też utwór poświęcony naszemu Gospodarzowi i żonie Maszy, to wspomnienie pt „U malarza”. Oto fragment wiersza, który nas rozbawił:

„Tak –
intonuję wysoko – Daleki Wschód
Dym z kadzidła się smuży
Słodki zapach migdałów tu
czy sandałowego drzewa?
Wyżej podbijam – ex Oriente Lux
Woń to jak z płatka róży
»O Jezu – palą się moje powidła«
Biegnie Masza z łyżką dużą...”

To była pełna ciepła chwila. W miłej, radosnej atmosferze wspomnienia ruszyły całą nawałą. Norbertt Skupniewicz pochodzi z Nakła nad Notecią. Mówi o latach 80.–90., gdy zajmował się żeglarskim, bokserką. Wspomnienia cofają się do młodości i okresu po II wojnie światowej. Opowiada o dziadku, który miał dwie kamienice w Gnieźnie, zanim przeprowadził się do Nakła. W 1945 r. artysta zapamiętał ciała zabitych Niemców i Rosjan – był wtedy dzieckiem. Wspomina swój dom rodzinny. Potem okres poznański, gdy mieszkał na ulicy Kanałowej. Edwarda Stachurę, który zachodził do jego mieszkania z dworca PKP, oraz sporadycznie odwiedzającego Milczewskiego-Bruno. Jerzy wtóruje wspomnieniom o tych poetach, gdyż bywali oni wszyscy w Zamku na spotkaniach przez niego prowadzonych. Norbertt, mimo swojego wieku, jest w dobrej formie – obecnie mniej zajmuje się malarstwem, natomiast dużo pisze. Ostatnio wydał w Wydawnictwie „Atena” trzy książki poetyckie, które nam sprezentował z dedykacjami: „tugdzież” (2022 rok), „szkuner” (2023 rok) oraz „dwudziestypierwszy” (2025 rok). Mówi o swoich artystycznych przestrzeniach i doświadczeniach z malar-

stwem. Stwierdza: „ja jestem WYSTEMPLOWANY, ja nic z własnej woli nie zrobiłem,

urodziłem się po raz drugi przez malarstwo”. Wy-stemplowany (jakby wymalowany?) bardziej niż ostemplowany, opieczętowany. Co to znaczy? Do imienia Norbertt, w odróżnieniu od swojego ojca, dodaje dodatkowe „t” – Norbertt. Wielki Artysta jest jak przesłanie niesione światu, jak misja, jak spełnienie niosące dobroć i nadzieję. Tacy artyści jak Norbertt Skupniewicz czy Jerzy są przesłankami w chaosie tego świata. Przy kawie herbacie i słodkościach czas mija szybko. Gospodarz opowiada nam o swoich zbiorach, zainteresowaniach, przeżyciach. Dzielę z Norberttem duchową przygodę z mądrością, doświadczeniem Dalekiego Wschodu, a także poezją. Jestem od dekad buddystą, bywam poetą. Wręczyłem Norberttowi upominek: mały mosiężny posążek Buddy oraz wyrecytowałem mantrę. Gospodarz był bardzo poruszony. Otrzymał także talizmany – mandale ochronne, tzw. termy. Najbardziej zainteresował się fotografią tybetańskiego Nauczyciela Tengi Rinpocze, który siedzi w medytacji pośmiertnej, tzw. tukdam. To wydarzyło się w 2012 roku, gdy Rinpocze w wieku 80 lat opuścił swoje ciało. Po wydaniu ostatniego oddechu siedział w pozycji medytacji przez cztery i pół doby. Wszystkie życiowe funkcje ustały, serce nie biło, brak pulsu, oddechu – mimo to wyprostowana postawa medytacji. Ciało zmarłego nie wykazywało oznak zepsucia, choć klimat w Katmandu temu sprzyja – w dzień gorąco, w nocy zimno. Mam z tego czasu własne doświadczenie. Codziennie przez cztery dni praktykowałem medytację Guru Jogi, wzywając Nauczyciela, czułem Jego bliskość, pogłębiony stan koncentracji. W piątym dniu coś się zmieniło, brak skupienia – wtedy zakończył się tukdam – Tenga Rinpocze ostatecznie opuścił ciało. Nad klasztorem Bencien w Katmandu rozszalała się straszliwa burza z piorunami. Po nawałnicy niektórzy widzieli tęczę.

Według buddystów niektóre istoty odradzają się, aby pomagać innym – tzw. bodhisattwowie. Szczególnym rodzajem takich istot bywają Artyści, którzy niosą ludzkości poprzez sztukę przesłanie Miłości, Mądrości, Radości, ukazując kierunek ku Dobru, Wspólnocie.

Na koniec spotkania zgadzamy się, że – jak w słowach piosenki – „...a ludzi dobrej woli jest więcej”, nie można tracić nadziei. Spotkanie trwało trzy godziny i bardzo trudno było się rozstać...

Norbertt Skupniewicz

Niemal zero

będąc uwagą – całą
przetrwalem małodusznych demagogów –
żonglerów bibelotem prawdy –
skrywających impotencję rozumu
pod swoją małpią uciechą

-
zamiast własności w dziele
wynosili kreaturę swoją wzwyż umizgów
i prychnięć błazna – pana błazna
póćień ich pewności topniejąc
wsiakał smoliście
w ociężałe dojrzałą masę niżniego raję
gdzieżby indziej

Barbara Kęcińska- Lempka
Zapiski książkowego mola

Diabeł, Bóg i komunista

Diabeł, który ukazał się w sowieckim więzieniu Aleksandrowi Watowi (1900 – 1967) polskiemu pisarzowi i przedwojennemu komuniście wyglądał tradycyjnie – miał rogi, kopyta i cuchnął siarką. Według mnie powinien mieć „szeroką, osetyńską pierś”, ospowatą twarz i ciągnąć za sobą smród machorki.

Jak komunistujący pisarz trafił do sowieckiego więzienia? Dlaczego Aleksandra Wata wykształconego, pochodzącego z bogatego, zasymilowanego żydowskiego domu tak zafascynowała i urzekła idea komunizmu? Dlaczego wykształceni ludzie ulegają tak prymitywnym, utopijnym ideom? (Takię pytania można odnieść do każdego totalitaryzmu.) Po latach Wat odpowiada na pytania w rozmowach z Czesławem Miłoszem w Berkeley w 1964 roku. Nagrana seria wywiadów została spisana przez Olę Watową żonę pisarza i ukazała się w książce „Mój wiek” już po śmierci Aleksandra Wata.

Według Wata przedwojennych (i powojennych) komunistów pociągała potrzeba jednowymiarowego świata, a mówiąc dosadniej prostactwo. „Prostactwo nas pociągało, tak jak w końcu najbardziej wyrafinowany filozof współczesny Sartre, albo nieboszczyk Merlau-Ponty, tacy już wykuci, a jak ich pociągało to prostactwo myśli, potrzeba uproszczeń. (...) Bo właściwie komunizm powstał dla zaspokojenia głodu. To zjawisko było o tyle nieuniknione bo w społeczeństwach dzisiejszych, nawet już w społeczeństwach XIX wieku powstały potężne głody. Jednym z tych głodów był głód katechizmu, prostego katechizmu. O wiele bardziej taki głód pali wyrafinowanych intelektualistów niż człowieka z ulicy. Człowiek z ulicy zawsze miał katechizm (...) to była bardzo prosta rzecz.” Przynależność do komunistycznego ruchu dawała poczucie braterstwa. „Żadne inne środowisko nie dawało go do tego stopnia. (...) Właśnie to uczucie jakiegoś braterstwa, jakiegoś ludzkiego ciepła, pozbycie się tego co dzisiaj nazywają alienacją (...) Żadne inne środowisko nie dawało go do tego stopnia. Było to braterstwo ludzi spiskowców, którzy mieli przeciwko sobie całe otoczenie, otoczenia wrogie (...) Ale w tym braterstwie trzeba widzieć jedną rzecz. Braterstwo było do wymówienia.”

W 1939 roku, po wybuchu wojny, Aleksander Wat z żoną i kilkuletnim synem uciekli do Lwowa. Wat zaakceptował aneksję wschodnich ziem Rzeczypospolitej i zaczął pracować w „Czerwonym Sztandarze”, sowieckiej gazecie dla Polaków. Radziecki terror, atmosfera podejrzeń i donosów otwierała oczy niektórym komunistom. Do nich należał Wat. W styczniu 1940 roku po prowokacji został aresztowany i osadzony w więzieniu we Lwowie. W sąsiedniej celi siedział Władysław Broniewski. Lwów, Kijów, osławiona moskiewska Łubianka, Saratów – to etapy więziennej gehenny Aleksandra. Jego żonę z synem, podobnie jak tysiące innych Polaków, sowietci zesłali do Kazachstanu, gdzie musiała walczyć o życie i chronić syna przed głodową śmiercią. Po utworzeniu pol-

skiej armii Andersa i amnestii były więzień wycieńczony i wyleczony z komunizmu odnalazł rodzinę w Kazachstanie i po interwencji Wandy Wasilewskiej, ponoć u samego Stalina, Watowie w 1946 wrócili do Polski. „Byłem komunistą gdy porządni ludzie byli antykomunistami i zostałem antykomunistą, gdy rozsądni ludzie szli do komunizmu” – powie Wat po latach Czesławowi Miłoszowi. Jednak aura przedwojennego komunisty, który nawet przesiedział trzy miesiące w Berezie Kartuskiej, ułatwiła mu życie w powojennej Polsce. Niestety wojenna trauma spowodowała u Wata udar. Odtąd pisarz mierzyć się będzie z uporczywymi, silnymi i nieuleczalnymi bólami głowy, które doprowadzą go do samobójczej śmierci w 1967 roku. Ratunku szukał wszędzie – u polskich i zagranicznych profesorów medycyny, a nawet u Ojca Pio, mistyka, cudotwórcy i stygmatyka. Watowie byli agnostykami ale wojenne przeżycia skłoniły ich do przyjęcia chrztu w 1953 roku (w tajemnicy – przed rodziną?, komunistami?). O pobycie w San Giovanni Rotondo u ojca Pio pisarz opowiada z goryczą Miłoszowi. Z goryczą, bo ojciec Pio na słowa, że nigdy dotąd się nie spowiadał i nie praktykował wiary odpędził go od konfesjonału. Taka jest wersja Wata, który we wspomnieniach prawie zieje agresją wobec świętego. Drażniły go nawet rękawiczki, którymi Ojciec Pio okrywał broczące rany. Spotkanie Wata i Ojca Pio jest często opisywane w kontekście skomplikowanej drogi duchowej Wata, oraz jego trudnych relacji z wiarą.

Grzegorz Musiał, który w swoich włoskich wędrówkach odwiedził San Giovanni Rotondo, tak ocenia nieudaną spowiedź Wata „Winna była płytkość Wata, było w nim bardziej pragnienie wiary niż sama wiara (...) Właśnie ten ton glinianego dzbanka zamiast spiżu musiał usłyszeć Ojciec Pio w głosie Wata, gdy ten we własnym mniemaniu nawrócony, klęczał po drugiej stronie krtek konfesjonału. (...) Wat odszedł od konfesjonału obrażony bo w jego odczuciu Pan Bóg mu się nie odkłonił”. Ja widzę jeszcze jeden aspekt zachowania Wata – jest nim pycha i poczucie wyższości intelektualisty nad tłumem prostych pańników. Pycha ta nieraz przewija się w rozmowach z Miłoszem. Nie znalazłam w nich refleksji nad szkodami, które wyrządził jako komunista, nie znalazłam skruchy ani przeprosin. Wat docieka przyczyn swojego zafascynowania komunizmem ale poczucia winy nie przejawia.

W opisanych tu historiach pojawia się jeszcze Bóg, który objawił się Oli Watowej. „Kiedy opowiedział (Wat) mi o przebiegu audiencji, ogarnięta wściekłością wybiegłam na ulicę. Dzień był pogodny, niebo czyste, bezchmurne. W rozpacz podniosłam pięści ku niebu wzywając Boga i prawie głośno wykrzyknęłam Jezu jeżeli istniejesz to niech piorun we mnie strzeli! I rzeczywiście piorun trzasł. Usłyszałam huk, a potem zapach siarki, tak, czułam jak wchodzi mi do nosa, jak gdyby na dowód, że nie uległam halucynacji, Nigdy jej nie doświadczyłam” Pan Bóg i zapach siarki? A może to był diabeł z sowieckiego więzienia?

Aleksander Wat - „Mój wiek” Czytelnik Warszawa 1990.

Ola Watowa - „Wszystko co najważniejsze” Czytelnik Warszawa 1990.

Grzegorz Musiał - „Dziennik włoski. Apulia, Abruzja, Rzym” Zysk i S-ka, Poznań 2022.

Jerzy Grupiński

Moja żona zamartwia się...

Tytułowy cytat nieomylnie zbliża, spoufala z twórczością poety. Wszechstronny twórca obdarzył nas kolejną książką, tym razem poetycką. I znowu, jak przy lekturze poprzednich pozycji tego autora, uwodzi nas ciepło i bliskość pióra, nieomylnie trafiającego w najbardziej intymne odczucia czytelnika, pióra nie unikającego przecieży i podstawowych, współczesnych pytań odnoszących się tak do losu jednostki, jak i prób diagnozy odpowiedzi na podstawowe pytania, przed którymi stoi współczesny człowiek.

Nie bez uzasadnienia w pierwszym wierszu omawianej tu książki, pojawia się motyw platoński. Znajdziemy Platona i w innych tekstach *W osłupieniu*, jak wyznanie, akt nadziei... Twórczość Krzysztofa Galasa sięga chętnie po tzw. „szerokiego czytelnika”. Temu obszarowi odbiorców służy też i działalność Krzysztofa w zakresie kompozycji, aranżu i wykonawstwa piosenek poetyckich wspólnie z żoną – Aliną, w duecie „Uzależnieni od marzeń”. Krzysztof Galas jest autorem ponad 100 piosenek.

W poprzednich swych książkach Galas nie szczędził nam relacji tak poetyckich, jak i prozatorskich związanych z obrazem, który można by określić jako „świat kobiet”.

„W osłupieniu” czytamy:

*Dziewczyny o słodkich ustach / zdumione
mieszkającym we mnie strachem / niecierpliwie
szczytują sny z mojej głowy / Wysokie obcasy stu-
kają w drodze niedomówień / powraca jak bume-
rang tęsknota*

Ale są i „Kobiety z Donbasu” jest i tytułowy cykl pt. *W osłupieniu*, zaskakujący czytelnika obrazami tzw. płatnej miłości, sylwetkami kobiet poniżonych, biednych, sytuacjami, w których „Bezradność toczy łzę...” i bohaterka tekstu jest „zmęczona i głodna”. Podeptane piękno budzi protest i ostrzeżenie – „Dojrzewasz do wielkiej przegranej”. Jednakże te obrazy, postulaty jak wyjęte z pozytywistycznych apeli, prób naprawy, stanowią jednak (na szczęście) margines tekstu, w którym zadziwia, uwodzi nas kobiece piękno, tajemnica psychiki i cały tzw. „świat kobiet”... Panie są w tych wierszach, na szczęście, piękne, zaskakujące i pełne tajemnic. Częstokroć autor i jego czytelnik stają oniemieli wobec...

*Czasami trzeba poczekać / wymknąć się
zmęczeniu / kochać i cierpieć / bać się ale wierzyć /
żeby nie przegapić mądrości co przychodzi mimo
woli („Motyl”)*

To niezwykle pogłębienie problematyki. Jak w naukach Ojców Kościoła mądrość zostaje utożsamiona z Miłością. Objawienia, epifanii, zrozumienia siebie, bliźniego i świata, dozna ten, kto zapala Miłością do Boga, Bo jak w swym hymnie pisze św. Paweł - „Miłość jest największa”. Kończąc cytowany wiersz pt. „Motyl” Krzysztof Galas pisze o mądrości „co przychodzi mimo woli”, jest więc jak Zbawienie, aktem Łaski. Tak jak w piśmach Lutra „sola Gratia” („tylko Łaska”) niezależnie od starań i zasług człowieka.

Pięknie napisany
dyptyk „Słuchanie miłości”
utożsamia uczucie z muzyką,
która ocala, uzdrawia, otwiera nowe światy...

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 97/2026

*Oczyszcza mnie muzyka gitarowa / wprawa
ciało w drżenie . uskrzydla zgarbiona starość /...
// Prawdziwej miłości nie wypatrzą oczy / czuję jej
melodię w sobie („Motyl”) // Ale świat tylko w nie-
których swych odsłonach jest przyjazny./ Coraz
trudniej iść najprostszą drogą / obserwowany świat
usypia czujność / okrada z resztek dobrej woli /
wiedza pojawia się jak widmo („Wstrzymuje od-
dech”)*

Ten wiersz kończy bezbronna, otwarta po-
inta – „Moja żona zamartwia się / pada deszcz”,
dalej poeta zapisał „... nie ma dobrych wiadomości
” (z „Roku na rok”), pada i bezbronne pytanie „Jak
być człowiekiem?”

Rzeczywistość okazuje się okrutna „nie-
zgrabnie się jąka”, staje się anonimowa, nieprzy-
jazna. Nawet samotność stygnie...

*na skraju lasu ktoś krzyczy / stygnie sa-
motność / i ziębi palce (*** Nie mogę...)*

Autorskie i nasze nadzieje ocala piękny, li-
ryczny cykl pt. „Jasność przebudzenia” dedykowa-
ny żonie, kreślony delikatnymi, pastelowymi bar-
wami. Alinie - towarzysze życia, nie tylko podmio-
towi tych wierszy ale i współpracownicy, współ-
autorce muzycznych sukcesów śpiewającego duetu.
Bo jak czytamy w wierszu *** *Przeglądam się
„Pochłonięty uciekającą chwilą / ocalam
wzruszające teraz”*

Krzysztof Galas - „W osłupieniu”, Wydawnictwo
Edu – Art., 2024.

Podziękowanie

Pragnę niniejszym podziękować wszystkim
twórcom, organizatorom, uczestnikom mojego
benefisu z okazji 88 rocznicy urodzin i 55-lecia
naszego Klubu Literackiego, w Bibliotece Raczyń-
skich, w dniu 4 lipca 2026r. Pani dyrektor Katarzy-
nie Kamińskiej, prezes ZG SPP w Warszawie, prof.
Annie Nasiłowskiej, Dyrektorowi Wydziału Kultury
Marcinowi Kostaszukowi, przedstawicielom me-
diów: TV3 Poznań, Radiu Poznań, przedstawicielom
organizacji i instytucji kultury, stowarzyszeń, Po-
znańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Dziękuję Krzysztofowi Szymoniakowi za
laudację i wydanie książki cytatów z mej twórczości
w bibliofilskim egzemplarzu. Także Janowi W. Mali-
kowi za unikalną akcję edytorską pt. „88”.

Inicjatorami i realizatorami benefisu byli
Anna Kokot-Nowak, Gabriel Roszak i Krzysztof
Szymoniak.

Dziękuję wszystkim członkom, sympaty-
kom naszego Klubu Literackiego, dzięki którym,
mimo wymiany pokoleń, Klub trwa.

Jerzy Grupiński



* * *

Od wczesnej młodości Orzeł bez korony towarzyszy Krzysztofowi Szymoniakowi. Na załączonym zdjęciu z początku lat osiemdziesiątych podczas prowadzonej przeze mnie w sali 104 poznańskiego Pałacu Kultury prezentacji gnieźnieńskiej grupy literackiej „Drzewo”. Obok Krzysztofa Ewa Cecylia Laskowska (Kuczkowska). W prezentacji wzięli także udział Krzysztof Kuczkowski i Tadeusz Sobkowiak.

Taki sam ptak wisiał w klasie (jak wspomina pisarz) i na sali Sądu Wojskowego w Warszawie, gdy Krzysztofa Szymoniaka skazano „za brak miłości do PZPR i ZSRR”, cytuję autorski biogram... Orzeł (pamiątka z dworca PKS w Pyzdrach) wraca też na okładce ostatniej książki pt. „Trudne słowa”.

J.G.



Krzysztof Szymoniak - „Trudne słowa”, wyd. FONT, Poznań 2026.

Andrzej Wilowski

Chora fontanna

14 maja 2026

Ach rozmarzyłem się! Najgorsze jest to, że czasem śnią mi się koszmary. Budzę się, włączam telewizor i okazuje się, że to wcale nie był sen.

Tymczasem trwa biennale w Wenecji. „Chora fontanna” działa. W austriackim pawilonie akwarystyczne instalacje, czyli same sensacje, publiczność pawilon oblega. W pałacu, bunkrze niemieckim (koszmarny pomnik nazistowskiego modernizmu) dwie wystawy. Jedna, to sentymentalna podróż do NRD, a druga, mozaika wymyślona. Ustawiona w honorowym miejscu rzeźba, uchodzący z Ukrainy nikogo nie porusza, a wszyscy pytają o pawilon radziecki i izraelski. Właściwie już rosyjski, który przez trzy edycje był udostępniany innym, egzotycznym artystom, na przykład boliwijskim. Sublokatorów eksmitowano i powrócił właściciel. Podobno nie propagandysta, tylko artysta.

W pawilonie centralnym wszystkiego pod dostatkiem, jak na perskim targu. Choć kolorowa, to sama konfekcja i galanteria. Jurorzy się poddali, zastrajkowali i wyjechali. Rozdania nagród nie będzie.

Czy to fontanna jest chora? Nie, chora jest idea tego biennale, narodowa i głupio awangardowa. Sztuka jest dobra albo zła, cokolwiek to znaczy. Porusza, albo tylko wzrusza. Czasem zaskakuje, albo tylko zaciekawia, albo bawi. Może być ważna, albo banalna, ładna, lub brzydka. Nawet feministyczna, albo jak kto woli mizoginiczna, lesbijska, albo gejowska, swojska, lub obca.

Horror jak w moim śnie tylko się robi, kiedy jest narodowa (cokolwiek to znaczy). Jeśli już muszą być jakieś targi, czyli wystawy, pokazy, to niech to będzie wolny rynek idei, a nie przemocowy hipermarket narodowy, choć międzynarodowy. Współczesny artysta to „Chimera jako zwierzę pociągowe” w służbie propagandy.

PROTOKÓŁ
kulturalny

Wydawca – Klub Literacki „Dąbrówka”

przy Piątkowskim Centrum Kultury
Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej,
os. Bolesława Chrobrego 120, 60-681 Poznań

Redaguje Jerzy Grupiński

e-mail jerzygrupinski@gmail.com

jsszwarcowie@wp.pl

Współpraca – Stefania Pruszyńska i Stanisław Szwarec

Przygotowanie do druku i korekta – Stanisław Szwarec

Druk – EuroPrint, Poznań, Pamiątkowa 19.

„Protokół” dostępny także na stronie
<https://protokolkulturalny.wordpress.com/>
(także numery archiwalne)

Autorzy przysyłający teksty do „Protokołu Kulturalnego” wyrażają zgodę na korzystanie ze swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych.

Autorzy ponoszą odpowiedzialność z tytułu naruszenia prawa spowodowanego publikacją ich materiałów.

Redakcja zastrzega sobie możliwość skracania nadesłanych materiałów oraz ew. zmian tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

